Nr. 13. Warszawa, dnia 1 Kwietnia (20 Marca) 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

FILOZOFIJA. NAUKI SPOŁECZNE. NAUKI PRZYRODNICZE. HISTORYA. JĘZYKOZNAWSTWO. SZTUKA.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Tajemnicze okienko. — Tydzień polityczny. — *Odcinek*: Przygoda Idy (dokończenie), p. Wacława C-owskiego. — *Badania naukowe*: Z poglądów i teoryj biologicznych, II, p. H. T. Rozickiego. — Literatura polska, p. Br. Chrz. — *Literatura i sztuka*: Sztuka i lud, I. — *Życie społeczne*: Z Galicyi, p. Prościckiego. — Wiązanka krakowska, p. Ferropara. — Ofiara postępu, p. K. R. Ż. — Liberum veto, p. Posła Prawdy. — *Sprawy ekonomiczne*: Zjazd górniczy, II, p. Dr. — Przemysł, handel i finanse. — Prasa ruska. — Kronika. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

TAJEMNICZE OKIENKO.

Pisz sobie jak Sofokles, Arystofanes, Shakespeare, Schiller, nie wydrzesz palmy teatralnej francuzom, bo nie potrafisz tak uscenizować swej sztuki. Ten często przez krytykę składany hołd kogutowi galijskiemu ma swoją dobrą racyę nietylko w literaturze dramatycznej. Francuzi bowiem umieją również tak scenizować politykę, jak żaden inny naród. Nawet w tej sferze są znakomitymi komedyotwórcami. Jeżeli chodzi o intrygę, o dowcipne zawiązanie jej węzła i zaciekawienie publiczności, czy można wymyślić coś zręczniejszego nad słynne „okienko“ w czekach panamskich, wycięte przez Andrieux'go? Jest to prawdziwe arcydzieło szelmostwa teatralnego. Przypominamy czytelnikom, że b. agent prowokacyjny, b. prefekt policyi a obecnie „radykał,“ Andrieux, przedstawiwszy komisyi parlamentarnej odbitki fotograficzne pokwitowań z odbioru łapówek panamskich, wystrzygł jedno nazwisko i na jego miejscu pozostawił puste „okienko.“ Zarówno on, jak jego poplecznicy twierdzili, że z tego okienka przeglądała osoba „bardzo wysoko postawiona,“ wznosząca się ponad całą gromadę winowajców i powszechnie szanowana. Najrozmaitsze domysły stanęły do wyścigu. Z początku wskazano kilku ministrów; gdy wszakże Rouvier, Freycinet, Floquet, Clemenceau powołani zostali przed sąd i wyspowiadali się ze swych grzechów, które ich pozbawiły dostojeństw i dobrej sławy, ale nie napiętnowały hańbą, zaczęto spoglądać podejrzliwem okiem jeszcze wyżej, aż do Carnota i jego żony. Śledztwo nie wykryło w tym kierunku najmniejszej poszlaki, ale tajemniczy X. z „okienka“ nie przestał intrygować wszystkich. Zwrócono się ku ambasadorom zagranicznym, pomimo jednak węszenia i tropienia nie upolowano żadnego dowodu, a potwarczełowy zakończyły się wydaleniem kilku obcych korespondentów i ustanowieniem kar za oszczerstwa, miotane na przedstawicieli mocarstw. Ale i to nie zapobiegło dalszym dociekaniom, kim jest ów X., zasłonięty maską żelazną przez Andrieux'go. Gdy już najrozmaitsze koncepty wyczerpały się, oskarżono syna Carnota, podobno młodzieńca hulającego, który z pogardą odparł zarzut i zaznaczył, że w epoce łapówek panamskich był studentem szkoły górniczej. Śród tego gwaru, odgadywań, potwarczych zmyśleń, a nadewszystko wytężonej ciekawości, posiadacz tajemnicy „okienka“ stoi dotąd uśmiechnięty i zadowolony rozwojem pieknącej intrygi. Nie odbiera on jej widzom nadziei, owszem przyrzeka, że kiedyś odsłoni twarz zagadkowego bohatera, ale tymczasem dla ważnych i jemu tylko wiadomych względów musi go oszczędzać.

Czy to nie znakomita komedya w stylu francuskim? Bo przypuśćmy i tę dość prawdopodobną możliwość, że w słynnem „okienku“ tkwił bardzo zwyczajny i podrzędny łapownik; że tajemniczy X. nie jest żadnym dostojnikiem rządowym lub parlamentarnym, lecz np. sprawozdawcą giełdowym wpływowego dziennika; jakże komicznymi wydadzą nam się wszystkie zabiegi dla zdemaskowania tej mizernej figurki! Na jakichże dudków Andrieux wystrychnął wszystkie ofiary swej intrygi! Jak potężnie tym prostym środkiem wysunął się on na plan pierwszy! Gdyby był nie wykroił „okienka,“ nie posiadałby już dziś żadnej roli; dzięki zaś dowcipnemu pomysłowi trzyma on w ręku groźny miecz nad głowami wszystkich ludzi, którzy w ostatnich latach wpływali na losy kraju. Drży bowiem przed nim nietylko ów winowajca, którego on może zmiażdżyć jednem słowem, ale każdy, którego może uczepić się podejrzenie. Dość gdy Andrieux znacząco mrugnie w stronę jakiegoś posła lub ministra, dość gdy uśmiechem lub półsłówkiem upoważni reportera napastniczej gazety do oczernienia słynnej osobistości, natychmiast okienko zamienia się na otwór gilotyny, z którego wygląda blada głowa niewinnej ofiary. Jest to dowcipnie uplanowany, ale jeden z najpotworniejszych teroryzmów, jakie warchoł wykonywać może. Próbowano wydobyć z Andrieux'go zeznanie prośbą, podstępem, odwoływaniem się do jego uczuć obywatelskich — daremnie. Nie chce on się pozbyć strasznego narzędzia, a jeśli kiedykolwiek wypuści je z rąk, to tylko wtedy, gdy ono przestanie być dźwignią jego karyery, źródłem jego siły. Zapomocą tajemniczego „okienka“ może on podtrzymywać w kraju wrzenie, którego jest głównem ogniskiem, na tem „okienku“ może opierać dzienniki z tłumem abonentów, wpatrzonych w człowieka, który „wszystko wie“ i kiedyś wypowie; w tem „okienku“ może otworzyć najdochodniejszy dziś kram spekulacyj politycznych. I on miałby je dobrowolnie stra-

cić? Musiałby nie być p. Andrieux, szachrajem, przedzierzgającym się w najrozmaitsze postacie, znakomitym komedyotwórcą i tkaczem intryg.

Rozsnuwszy jednak nici psychologiczne tego charakteru, przyznać musimy, że podobną komedyę bez wywołania zgrozy w całym narodzie odegrać można tylko we Francyi. Gdyby w jakimkolwiek innym kraju ktoś pozwolił sobie na taką zuchwałą i urągliwą igraszkę ze sprawiedliwości i rozdrażnionych uczuć narodu, albo by z niego wydobyto tajemnicę, albo gwizdaniem spędzono ze sceny. Tego rodzaju „okienko“ jest wyrobem czysto francuskim.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Co słychać z Francyi? Naturalnie echa sprawy panamskiej. Już oskarżyciele i oskarżeni dostatecznie nawymyślali sobie w parlamencie, ale jeszcze Arton biega po świecie, a Hertz leży w Anglii. Otóż pierwszy już miał być złapany — co się nie sprawdziło — a drugi ma być wydany — co się zapewne także nie sprawdzi. Na długo więc jeszcze, na bardzo długo błoto panamskie wystarczy prasie i opinii publicznej. Pokłady jego są niewyczerpane.

Po za nimi jedyną wiadomością z Paryża jest wybranie Challemel-Lacoura prezydentem senatu po śmierci Ferrego.

Dość łagodni dla swoich, okazują francuzi wielką surowość dla obcych dziennikarzów. Wydalili znowu korespondenta *Berl. Tagblattu*, niejakiego O. Brandesa, który miał być twórcą plotki o obdarowaniu syna Carnota pieniędzmi z kasy panamskiej.

Z wyjątkiem garści konserwatystów nieprzejednanych względem żydów, wszystkie inne stronnictwa ostro potępiły lub wyszydziły osławionego Ahlwardta, który złożył w sejmie „dowody,“ mające w Niemczech stworzyć gatunek sprawy panamskiej. Ponieważ jednak denuncyant usprawiedliwił się, że krótkość czasu nie pozwoliła mu sprowadzić z Drezna wszystkich dokumentów, których posiada „dwa centnary,“ więc obracający się około tego bohatera antisemityzm zyskał w jego zapewnieniu i obietnicy środek do dalszej agitacyi.

Targi rządu niemieckiego z parlamentem o pomnożenie wojska trwają dotychczas. Zmordowany nimi kanclerz zaczął rozmyślać o rozwiązaniu sejmu, ale nie może się odważyć, gdyż „babka na dwoje wróży.“ Z dziwną ironią zbiegają się czasem wypadki. Podczas gdy gen. Caprivi upada pod rotowym ogniem swych przeciwników, niejaki Dowe zgłosił się do niego z propozycyą nabycia wynalazku pancerza z materyi, której kule nie zdołają przebić. Jeżeli to doniesienie nie jest bajką, to zaiste cudowną wytrzymałość posiadałaby owa materya wobec kul, przeszywających grube deski, blachy i 12 żołnierzy w szeregu. Każdy pomysł, który zajmuje techników, zajmuje równocześnie waryatów. Nie dziw też, że Dowe wywołał całą gromadę wynalazców, którzy zaofiarowali podobne pancerze i zasypali swymi projektami Capriviego. Czy i on nie należy do obłąkanych fantastów — wkrótce się dowiemy. Tymczasem rozkoszujmy się przyjemną „sensacyą.“

Ledwie wstał z łóżka Gladstone, musiał zaraz stoczyć kilka utarczek w parlamencie. Naprzód podczas rozpraw nad wnioskiem Balfoura, wyrażającym naganę dla rządu za bil irlandzki, jeszcze raz stanął w obronie swego dzieła. Potem przystąpił do obalenia jednego „ze starych dobrych zwyczajów“ konstytucyi angielskiej, odmawiającego posłom płacenia dyet. Warunek ten miał ich uczynić całkiem niezależnymi materyalnie, a wyłączył z parlamentu wszystkich ludzi niezamożnych i biednych, którzy nie posiadają środków na kosztowne wybory i przebywanie w stolicy. Uchwalona zmiana nie jest jeszcze prawem, lecz dopiero wezwaniem rządu do opracowania reformy. Zapomocą niej i wogóle zapomocą rozszerzenia prawa wyborczego Gladstone chce pociągnąć ku sobie i swym planom żywioły demokratyczne.

Radykałowie serbscy postanowili nie uczestniczyć w obradach skupczyny i tym sposobem udaremnić jej działania, wymagające obecności pewnej liczby posłów, której rząd w własnem, liberalnem stronnictwie nie posiada. Jeżeli postępowcy przyłączą się do tej zmowy, skupczyna nie będzie mogła odbywać posiedzeń. Ale może to nie zmartwi regencyi.

Obłąkaniec, poprzednio karany za morderstwo, fanatyk, „uznający tylko rządy Boga i papieża,“ Ludwik Berardi, rzucił do powozu przejeżdżającej włoskiej pary królewskiej zwitek papieru napełniony ziemią. Oddano go naprzód do osądzenia lekarzom.

BADANIA NAUKOWE.

Z POGLĄDÓW I TEORYJ BIOLOGICZNYCH.

II.

Mimo to jednak spór pomiędzy ewolucyonistami a zwolennikami epigenezy nie zakończył się i w ostatnich latach idea ewolucyjna w nowej wprawdzie postaci, przykrojonej do nowych zdobyczy naukowych, zyskuje sobie znów zwolenników. Jakkolwiek bowiem nie przyjmujemy dziś, że w komórce jajowej znajduje się miniatura przyszłego organizmu, zawierająca zupełnie gotowe, lecz nieskończenie drobne wszystkie części ciała, to jednak ważne odkrycia biologiczne lat ostatnich zniewalają nas do przyjęcia, że w jaju, a właściwie w pewnej składowej jego części znajdują się zawiązki wszystkich przyszłych cech organizmu i że ten ostatni nie może posiadać żadnej cechy ważniejszej, któraby nie znajdowała się już jako zawiązek (Anlage) w komórce jajowej.

Wskutek wprowadzenia do embryologii metody doświadczalnej, zdołano przelać nieco światła na kwestyę stosunku zawiąz-

PRZYGODA IDY.

(Dokończenie).

Po obiedzie Ida ruszyła na Błonie. Nabrała z sobą cukru, herbaty, pieniędzy. Nie wiedziała, gdzie mieszka Kaczkiewiczowa, ale miała nadzieję, że się dopyta u ludzi. Dzień był słoneczny, chłodny; zima była w tym roku bez śniegu, więc przejść spacerkiem aż na Błonie nie stanowiło wielkiego trudu. Przez drogę fantazya malowała Idzie obraz, jaki zastanie. Uboga, lecz schludnie utrzymana izdebka, na czystej pościeli leży mizerna, słaba, chora, z książką w ręku, tuż krząta się jej matka ze zbolałym wyrazem twarzy, z zapłakanemi oczyma, lecz z rezygnacyą w spojrzeniu. Idę przyjmą jak anioła opiekuńczego...

Otóż i Błonie. Nigdy nie była w tej uliczce na przedmieściu, niebrukowanej, z nałymi brudnymi domkami. Pierwszego spotkanego zapytała o dom Zylbra. Wskazano go jej. W furtce stał chłopak z miną wisusowatą. Zapytała go:

— Czy nie wiesz, mój kawalerze, gdzie tu mieszka Kaczkiewiczowa?

— A dla czego miałbym nie wiedzieć? Tylko, kiedy już na to poszło, to nie kawaler, ale pan... a jakże!— zaśmiał się chłopak i pobiegł przed Idą, wskazując jej drogę.

Jak tu brudno myślała Ida. Mróz wysuszał błoto, ale do grudy przymarzły, śmiecie i słoma a gnój był porozrzucany po całym podwórzu. Trzeba była okrążyć dokoła cały domek i wejść od tyłu. Ida znalazła się w ciemnej sionce, z której troje drzwi prowadziło do różnych mieszkań. Brudno tu było i wilgotnie. Za jednemi drzwiami słychać kłótnię, za drugiemi płacz dziecka i śpiew monotonny. Chłopak otworzył trzecie drzwi.

— Pani Kaczkiewiczowa, goście idą! — krzyknął i ustąpił z progu.

Do izdebki weszła Ida.

Nigdy nie była w podobnem mieszkaniu. Izdebka miała może ze sześć kroków długości, a ze trzy szerokości, powietrze w niej ciężkie, przesycone parą i wilgocią. Po szarych z brudu ścianach płynęły krople wody. Na kominie tuż przy drzwiach żarzyło się kilka głowni i stał jakiś odrażający garnek. Maleńkie okienko miało trzy tylko szyby, czwarta była zaklejona papierem. Pod oknem stał stolik, na oknie parę geranii. Bieda dokoła była, ani krzesła, ani kufra nawet, kawał jakiejś ławki. Na łóżku, na pościeli koloru nieokreślonego, okryta jakąś pierzynką, siedziała Anielka i karmiła dziecko.

Zmieniona była, blada, chuda, jak wypieki odbijały od bladości reszty twarzy. Nie poznała widać Idy.

— To ja, Anielko, przyszłam cię odwiedzić — rzekła Ida.

Tu spostrzegła kobietę, która była w izdebce. Nie podobała jej się od pierwszego wejrzenia: Musi to być kobieta chytra i podstępna, pomyślała.

Po chwili Ida siedziała na ławce przy chorej, zdjęła rękawiczki i prowadziła rozmowę.

Nie żaden panicz był uwodzicielem, ale czeladnik szewski. Durzył Anielkę, obiecywał się żenić, a w końcu zabrał swój pocięgiel, kopyto i poszedł na wędrówkę. Połóg miała Anielka trudny, wpadła później w chorobę, a gdy o niej zaczęła opowiadać w słowach jej było tyle rzeczywistego realizmu, że Ida wciąż się wzdrygała.

Zostawiła w izdebce swe zapasy, obiecała, że jeszcze przyjdzie i opuściła dom Zylbra, odprowadzona na ulicę przez Kaczkiewiczowę.

Wizyta na Błoniu wywarła na Idę przygnębiające wrażenie. Powietrze izdebki przyprawiło ją o zawrót głowy. Dopiero, na jednej z większych ulic przyszła do siebie.

— Biedna Anielka— pomyślała; jest ona zbyt prostą dziewczyną, aby miała szukać jakiegoś wznioślejszego celu w życiu. Jej celem było połączyć się z człowiekiem, którego kochała, a gdy go nie stało, cóż jej życie zapełni?.. Chyba że będzie mi pomagała w wynajdywaniu prawdziwych nieszczęśliwych, w odkrywaniu szczegółów ich życia. Spróbuję ją nastroić na ten ton, jako też jej matkę. Gdy Anielka wyzdrowieje, obie te istoty będą się starały oddać mi tę przysługę, jakiej od nich wymagać

ku owych cech do własności organizmu dorosłego. A mianowicie, jeden ze znanych biologów współczesnych, prof. Roux z Wrocławia, okazał niedawno, że jeżeli sztucznie zniszczymy lub usuniemy połowę jaja żabiego, to powstanie zarodek połowiczny. Jajo żabie, mające postać kolistą, dzieli się z początku w kierunku jednej z płaszczyzn południkowych, następnie w kierunku drugiej, prostopadłej do pierwszej, a tym sposobem rozpada się na cztery części, czyli na cztery pierwsze kule przewężne; potem każda z tych części dzieli się znów na dwie połowy itd., wskutek czego zjawia się coraz więcej komórek. Otóż gdy w stadyum dwóch lub czterech kul przewężnych Roux niszczył zapomocą igły, do czerwoności ogrzanej, prawą połowę jaja, natenczas rozwijała się lewa część zarodka (lewa połowa t. z. gastruli), gdy niszczył lewą połowę, rozwijała się prawa część zarodka, gdy niszczył przednią połowę, rozwijała się tylna połowa zarodka i wreszcie po usunięciu tylnej rozwijała się przednia. Z ciekawych tych doświadczeń wyciągnął wniosek, że substancya, zawarta w lewej połowie jaja, jest „predysponowana“ dla utworzenia lewej połowy ciała, substancya, tworząca prawą połowę jaja, przeznaczona jest do utworzenia prawej połowy itd. i że począwszy od stadyum czterech segmentów, rozwój odbywa się w sposób „mozajkowy,“ tj. w każdej z czterech części jaja jakby na własną rękę. Ten pogląd anatoma niemieckiego przypomina bardzo teoryę ewolucyonistów, ale naturalnie tylko w najogólniejszych zarysach; wynika bowiem z niego, że różne części substancyi jaja zwierzęcego, będące zawiązkami przyszłych części organizmu, są już w jaju topograficznie odgraniczone i odpowiednio rozmieszczone. Fakty i poglądy te zwróciły na siebie uwagę wielu badaczów, którzy poddali krytyce zapatrywania Roux'a i powtarzając doświadczenia jego na jajach innych zwierząt, doszli do przeciwnego zdania. Na szczególną uwagę zasługują spostrzeżenia i wywody zoologa niemieckiego, Driescha. Autor ten przekonał się, że jeśli zarodek jeżów morskich, złożony już z czterech komórek, wstrząsać będzie silnie, to rozpadnie się on na pojedyncze, ale każda z nich zacznie się dzielić i rozwijając dalej, wytworzy młode zwierzę (larwę), zupełnie podobne do normalnego, tj. rozwijającego się z całkowitego jaja, różniące się tylko wielkością, a mianowicie cztery razy mniejsze. Doświadczenia te okazują zupełnie co innego, niż rezultaty, otrzymane przez prof. Roux. Driesch twierdzi na podstawie swych obserwacyj, że w rozwijającym się zarodku każda komórka zachowuje aż do pewnego okresu zdolność wytwarzania całkowitego organizmu, że nietylko różne części substancyi w samem jaju, ale nawet już komórki zarodka (do pewnego wieku) *nie* są „predysponowane“ do wytwarzania określonych części ciała, lecz każda z nich zawiera zawiązki dla wszystkich, a dopiero w miarę rozwoju, wskutek wzajemnego oddziaływania na siebie wszystkich komórek, różne ich grupy różnicują się w pewnych kierunkach, indywidualizują się, tworzą np. grupy komórek nerwowych, mięśniowych, nabłonkowych itd. i tracą tym sposobem pierwotną swą zdolność wytwarzania całkowitego organizmu.

Po czyjej stronie jest prawda, czy zwolenników predyspozycyi, czy też szkoły Drieschа, przyszłość okaże, albowiem wymienione prace stanowią tylko początek badań. To jest jednak pewnem, iż wogóle zawiązki cech przyszłego organizmu istnieją już wszystkie w komórce jajowej i że podścieliskiem materyalnem jest jej jądro (każda składa się z t. zw. protoplazmy, tj. substancyi płynnej, będącej mieszaniną różnych ciał białkowatych, oraz z jądra, tj. małego ciałka, zawartego wewnątrz protoplazmy i gęstszego od niej). Substancyą jądrową jaja, zawierającą w ukryciu zawiązki wszystkich właściwości organizmu, nazwano idyoplazmą lub plazmą zarodkową. Według dzisiejszej teoryi ewolucyi, składa się ona z wielu bardzo grup maleńkich ciałek, ziarenek, które są właśnie podścieliskiem tych zawiązków cech. Wobec tego, że ilość tej substancyi w komórce jajowej jest nadzwyczajnie mała, trudno zrozumieć, jak w mikroskopowej ilości materyi mieścić się mogą zawiązki tysięcy cech morfologicznych i fizyologicznych ustroju, przedstawiającego przecie tak wielce skomplikowaną i cudowną machinę. Przypuszczamy więc dlatego, że owe hipotetyczne składniki plazmy zarodkowej, zwane przez Oskara Hertwiga idyoblastami, mają nietylko różnorodną naturę materyalną, ale że mogą także zachodzić między niemi, wskutek ich współdziałania, niezliczone kombinacye. Od różnej ich natury i od rozmaitego ich współdziałania zależą różne morfologiczne i fizyologiczne cechy organizmu, przywiązane do idyoblastów, jako zawiązki. Hertwig (1893) powiada, że owe hipotetyczne składniki plazmy zarodkowej porównać można do liter alfabetu, które mogą przez rozliczne kombinacye wytwarzać wyrazy, a przez kombinacye wyrazów — zdania najrozmaitsze, albo też do tonów muzycznych, przez których kolejne następstwo oraz kombinacyę wytworzyć można niezliczoną ilość harmonij („Zelle und Gewebe,“ str. 272). Idyoblasty, według pojęć Hertwiga, Weismanna (który nazywa je idami, idaatami), H. de Vriesa i innych współczesnych biologów, mogą się powiększać i dzielić, podobnie jak i liczne inne organizowane ziarenka i ciałka, np. ziarna krochmalu, barwników itp., a tym sposobem ilość ich może się podczas rozwoju zarodka powiększać. W miarę jak się organizm rozwija, nadają one określone piętno morfologiczne i fizyologiczne składającym go komórkom, a tem samem i całemu ustrojowi, będącemu tylko kolonią komórek, to zachowujących swoją indywidualność, to w mniejszym lub większym stopniu tracących ją. Przypuszczalne idyoblasty, zawarte w jądrze komórki jajowej, przechodzą od jąder komórek potomnych, składających ustrój, a że w samej rzeczy od natury jąder zależy piętno biologiczne całej komórki, dowodzą tego liczne bardzo doświadczenia wielu uczonych współczesnych, jak: Maxa Verworna, Grubera, Haberlandta, Bruno Hofera i innych, którzy dowiedli, że jądro rządzi odżywianiem się, ruchami, wrażliwością i rozmnażaniem się komórek. Tak tedy ewolucya dzisiejsza, nieprzyjmująca wprawdzie w jaju obecności miniaturowego organizmu wraz ze wszystkimi, właściwymi mu narządami, przypuszcza jednak w substancyi jego jądra, czyli w t. zw. plazmie zarodkowej, obecność grup organizowa-

---

będę, tem bardziej, że wiedzą, jak ciężką jest nędza!..

Naraz obok Idy przeleciał chłopak krzycząc: „Lentecki, kolega Lentecki...“ Z za węgła wyszedł garbus, owinięty w palto dziurawe, drżąc od zimna i rozmawiając sam z sobą:

— Czego oni chcą ode mnie, łotry te? Czego mnie prześladują! Nawet człowiekowi przejść spokojnie nie dadzą. Idź precz, gałganie! Idź precz!.. krzyknął karzeł dzikim głosem.

Chłopakowi gdzieś pilno było, bo biegł szybko w przeciwną stronę, odwracał się tylko często i wołał: „Kolego Lentecki!“ Idzie żal się zrobiło niezmiernie biedaka, sięgnęła do kieszeni, znalazła tam czterdzieści groszy, wydostała je i podała garbusowi.

Ten nie wyjął ręki z kieszeni, spojrzał z pod brwi i poszedł dalej, mrucząc. Ida zmieszała się.

— Nie jestem żebrakiem — mruczał — jeśli czasem pożyczę od kogo pięć kopiejek, to pożyczam, nie biorę. Oddam... jak będę miał... przydałoby się jednak ze dwadzieścia kopiejek, bo tyle, zdaje się, dawała... Byłoby za to: dwa serdelki, nawet cztery serdelki, szklanka piwa i moc bułek. Głupstwo się zrobiło, panie Lentecki... Cóż, kiedy nie znam tej pani, a od nieznajomych brać nie wypada... Oddałoby się jej co prawda później, jak będę miał... Och, żebym to ja miał pieniądze, zarazbym sobie kupił porcyę kiełbasy z kapustą i cygaro... Pomyślałoby się też o żonie wówczas, panie Lentecki...

Tu karzeł nachylił się i podniósł niedopalony papieros. Chłopak, który biegł przez ulicę, poklepał go po ramieniu i zawołał:

— Jak się masz, kolega!..

III.

Gdy na drugi dzień Ida powtórnie odwiedziła mieszkańców domku na Błoniu, starej Kaczkiewiczowej nie zastała. Na kominie gotowały się w jednym garnku kartofle, w drugim coś jeszcze. Dziecko spało w kołebce. Na łóżku leżała chora z rękami podłożonemi pod głowę.

— Jakże ci, Anielko? — zapytała Ida, siadając na ławce.

— Lepiej niby — odpowiedziała chora. Myślę tak sobie właśnie, czy nie lepiej byłoby nie wstawać już z łóżka i pójść prędzej do tej ziemi... Trzeba będzie wstydu się najeść. Łzy zaświeciły jej w oczach.

— Daj pokój, Anielko, wszystko się zmieni na lepsze! — zaczęła pocieszać Ida.

— Już człowiek takim się nieszczęśliwym urodził... Prawda, głupia byłam, ale są gorsze i lepiej im, chodzą wystrojone i nie gniją tak na barłogu, jak ja... Biedna moja głowa!

Otworzyły się drzwi. Na progu ukazała się stara Kaczkiewiczowa.

— Padam do nóżek panience — rzekła jakimś niezbyt pokornym głosem, a gdy się zbliżyła, Ida poczuła od niej mocny zapach wódki.

— Czego ty się mażesz, utrapienico! — krzyknęła stara na córkę — mało miałam zgryzoty z tobą, umartwienie ty moje!

— Tak mi się markotno zrobiło!

Dziecko w kołebce zaskrzeczało słabym głosem. Anielka sięgnęła po nie i huśtać je na ręku zaczęła. Ida doznała jakiegoś nieprzyjemnego uczucia. Zaczynała pojmować, że w życiu tych ludzi niema żadnej grozy tragicznej, lecz wstrętna nędza i brud życiowy, który budził obrzydzenie i niesmak. Nagle stara Kaczkiewiczowa bez powodu upadła na kolana przed obrazem, krzycząc obrzydłym, pijackim głosem:

— A bodaj ci ręce i nogi połamało, a bodaj cię pokrzywiło, a bodajeś przepadł gałganie, oszuście!.. Na kolanach pójdę do Skępego modlić się, aby cię Pan Bóg pokarać raczył.

Sypała klątwy, jakich Ida nie słyszała w życiu, tylko zrozumiała, że są wystosowane pod adresem czeladnika szewckiego.

— Chryste panie! — wołała stara. Za co my tacy nieszczęśliwi. Dlaczego ta lala chodzi wymalowana, ustrojona, a moja przepada?.. Czem ona lepsza od niej?.. Czy się nie grzebały razem w piasku, czy moja zawsze ładniejszą nie była?.. Czy ona tak pracowała w życiu kiedy, zgarbiona nad maszyną, nie dośpiąc, nie dojedząc... Boże, Boże!.. Dlaczego my tacy biedni?.. Moja wina, żem nie upilnowała swojej, a czy ona, gdyby jej nie pilnowali, lepszą by była? Czy nie mizdrzy się każda z nich do chłopów więcej, niż moja?.. Ale ona — panienka, jej wszystko można, a ty, córko kucharki, giń, przepadnij.

— Matko, matko! — krzyknęła Anielka z przerażeniem.

nych cząstek, do których przywiązane są wszystkie przyszłe cechy ustroju — zawiązku, czyli, wyrażając się słowami Weismanna, cząstek, zawierających „tendencye“ wszelkich cech organizmu.

W tem znaczeniu dzisiejsi biologowie przyjmują teoryę preformacyi i występują jako przeciwnicy epigenezy dawnej szkoły, która wraz z Wolffem przyjmowała, iż substancya jaja jest jednorodna i że wszelkie zawiązki występują kolejno i stopniowo; dziś wiemy, że tylko *widoczne* dla nas, tj. uzewnętrzniające się cechy organizmu pojawiają się stopniowo w biegu rozwoju, lecz że zawiązki wszelkich, morfologiczno-fizyologicznych właściwości ustroju istnieją już od samego początku w plazmie zarodkowej.

H. T. Rozicki.

LITERATURA POLSKA.

Dr. Nadmorski. *Kaszuby i Kociewie.*

Dr. Nadmorski znany jest z wielu prac, drukowanych w *Wiśle* i wydawnictwach niemieckich. Jest to badacz poważny i drobiazgowy, posiada wszystkie właściwości, jakie obecnie wymagane są od pracowników na niwie folkloru. Ludoznawstwo nasze znalazło w nim pożądany nabytek. Dziedzina ta obecnie przedstawia pole poszukiwań szczegółowych, każda grządka jest starannie i mniej więcej metodycznie wyzyskiwana, a wytyczną takich prac jest wyświetlenie i zbadanie jakiegoś ułamku, powiązanie jednego ogniwa zagadnień z jakiemś innem. Etnografię, folklor, można określić, jako *historyę statyczną*, jest więc ona odłamem posiłkowym socyologii, że tak powiemy, placówką zewnętrzną. Przedmiotem jej są ludy ze strony ich wierzeń, zwyczajów i obyczajów, bytu społecznego i prywatnego. I w tej sferze naturalnie odbywają się przemiany, ruch, postęp, lecz bardzo powolny. Do badań nad nią stosowana jest dziś głównie metoda porównawcza, której naczelnymi przedstawicielami są: Benfey, A. Wesołowskij, Dragomanow, Köller, Weber, Kosken, Child, u nas J. Karłowicz, metoda, starająca się wynaleść i ujawnić składowe pierwiastki wątku podań, legend itd., dążąca do wykazania źródła i sposobów zapożyczania takich tworów fantazyi ludowej. Jest ona całkiem uprawniona i wydaje rezultaty pozytywne, ale trzeba pamiętać, iż może być tylko podrzędną i pomocniczą względem metody genetycznej. Na podstawie materyałów, zebranych tą drogą, możemy zasadnie wywnioskować, jak mało samodzielną i samorzutną jest twórczość ludowa, jak ubogie przędziwo jej fantazyi; widzimy, że twory ducha ludowego to zlepki różnoplemiennych i różnorodnych pierwiastków. Rzec można, że cały ten splot wierzeń i podań przedstawia swego rodzaju szczególny, duchowy organizm międzynarodowy.

Autor w nadmienionej pracy swej zobrazował szczegółowo język, zwyczaje, przesądy, podania, zagadki i pieśni ludowe w północnej części Prus zachodnich. Pierwszy rozdział traktuje o języku lechickim, gwarze kaszubskiej w stosunku do gwar połabskich i polskich, o parafiańszczyznach kaszubskich, gwarze kociewskiej. Opierając się na świadectwie Nestora twierdzi p. N., że słowianie nad Wisłą, Odrą i Łabą tworzyli jedność plemienną. Następnie, mianowicie opierając się na pracach poważnych filologów, zwraca uwagę na właściwości, wyróżniające język słowian lechickich od wszystkich innych słowiańskich. Taką cechą, jak wiadomo, są samogłoski nosowe, istniejące również i w starosłowiańskim. Następnie dotyka kwestyi pochylania się *a* na *o* i wogóle przemiany rozmaitych dźwięków. Jeszcze w XII—XIV wieku ani gwary połabskie, ani kaszubska nie różniły się od nadwiślańskich tak daleco, jak obecnie, ale po tym czasie i owe gwary i język polski nie rozwijały się równolegle, lecz w kierunkach odśrodkowych. Na mocy licznych dowodów, zebranych jednak w sposób dorywczy, których na tem miejscu przytaczać nie możemy, dochodzi autor do przekonania, iż mylnem jest twierdzenie niektórych znawców kaszubszczyzny, jakoby gwara ta mniej się zmieniła od naszego języka piśmiennego. „Nie da się wprawdzie zaprzeczyć — powiada — że kaszubska zachowała dużo form i wyrazów, które znajdują się w najstarszych pomnikach języka naszego, a później uległy przemianie lub znikły całkowicie, ale również kwestyi ulegać nie może, że gwara kaszubska w wielu przypadkach zmieniła swą głosownię, w których i język piśmienny i reszta gwar polskich zatrzymały dawne brzmienia. 'Zmiany te odbywały się zgodnie z duchem języka naszego, co jest nowym dowodem, że kaszubska jest gwarą języka polskiego, chociaż stoi nieco na uboczu, tak, jak ziemia kaszubska na skraju dawnej Polski leżała. Jedynie w Kaszubach styka się dziś ludność polska z morzem, a pomorzanie byli nietylko z lechów, ale z słowian północnych wogóle jedynym szczepem, który miał „wolny oddech ku morzu.“ Położenie takie nie wpłynęło jednak dodatnio na ludność kaszubską. Od początków swego pobytu nad morzem Bałtyckiem ograniczyła się ona na łowieniu drobnych rybek nadbrzeżnych, w większych przedsiębiorstwach zamorskich nie wyrabiała sobie hartu i sprężystości, ani nie pomnażała swego dorobku. Kaszubi dzielą się na pomniejsze grupy helan i belaków. Autor szczegółowo opisuje miejscowość przez nich zamieszkałą, wymienia miasteczka i wsie.

Następny rozdział poświęcony jest zwyczajom i przesądom przy urodzeniu, chrzcie, ślubach i pogrzebach. Zaraz po urodzeniu oglądają dziecko, czy nie ma jakiego znamienia. W pewnej miejscowości zawijają nowonarodzone dziewczę w fartuszek matki, żeby była dobrą gospodynią, chłopaka kładą pod stół, żeby był dobrym gospodarzem. Gdy się dziecku pierwszy raz wkłada koszulę, trzeba to czynić od prawej ręki, ażeby nie używało lewej do pracy; gdy już zaczyna chwytać, podsuwają mu książkę do nabożeństwa i pieniądze, jeżeli ujmie pierwszą, będzie mądre, jeżeli drugie — bogate.

Zaślubiny także otoczone są rozmaitymi obrzędami i zwyczajami. W pewnej okolicy nowożeńcy klęczą tak ciasno obok siebie, że nikt pomiędzy nimi przejrzeć nie może, a to dla tego, aby czarownica, albo źli ludzie nie mogli im szkodzić i żeby się zawsze dobrze zgadzali. Gdy wracają od ołtarza, obiega pani młoda około męża

---

Oburzenie zaparło oddech w piersiach Idy.

— Cicho, trucizno! — krzyknęła stara, rzucając się ku łóżku z pięściami — wstydzie ty mój!

— Matko! — wrzasnęła Anielka, zasłaniając się dzieckiem.

Tu Ida zabrała głos.

— Moja kobieto, jaka ty jesteś niedobra i niesprawiedliwa. Czy tak postępuje matka, żeby nad chorą córką znęcać się, a nadewszystko przepijać pieniądze, za które można by było kupić jakiego posilnego jedzenia dla córki...

— Patrzcie ją — mruczała stara z pasyą do siebie — ona mi tu jeszcze morały prawić będzie, choć niedawno od ziemi odrosła... Oni sobie rozumieją, że jak już za grosz pomogą, to za dziesięć mogą się nagadać i naponiżać człowieka... O, podlecy, podlecy i nie ma na was ani sprawiedliwości, ani pomsty bożej, pozabijać by was wszystkich należało, żebyście się nie znęcali nad ludźmi...

Ida drgnęła, wydało się jej, że pijana chce chwycić za siekierę, która leżała przy piecu, że się na nią zamierzyła, że za chwilę zardzewiałe żelazo pognieciе jej kapelusz i rozbije głowę. Była tak przerażona, że wstać z ławy nie mogła, wreszcie zerwała się i wybiegła z izdebki. Anielka patrzała osłupiałym wzrokiem, Kaczkiewiczowa wytrzeszczyła bezmyślnie oczy.

Dopiero w domu uspokoiła się nieco Ida z przerażenia; zamknęła się w pokoju i śmiać się zaczęła spazmatycznie.

Tego wieczora u rodziców Idy byli goście. Zachwycała ich swą grą na fortepianie.

— Pani — mówił do niej elegancki, choć niemłody aptekarz — pani zapracowywa się nad muzyką. Pani powinna starać się przedewszystkiem o to, aby zachować na zawsze tę prostotę, tę niewinność, tę wesołość, aby uszczęśliwić kogoś, co się znajdzie wkrótce, niedługo... O to, o to dbać tylko, o nic więcej...

W tej chwili słowa eleganckiego farmaceuty trafiły jakoś lepiej do przekonania Idy, niż te, które podszeptywał jej po pierwszym balu szatan jakiś.

— Pragnę innego, lepszego życia, uczuwam wstręt do bezmyślnej, pustej egzystencyi.

Odbiegła ją naraz chęć imponowania światu.

IV.

Na bazarze dla biednych, urządzonym przez towarzystwo dobroczynności, Ida sprzedawała herbatę.

— O, pani jest wcieloną dobroczynnością — mówił on, siadając obok Idy — dość spojrzeć na panią, aby to widzieć. Bez litości jest pani tylko dla...

Tu westchnął młodzieniec i poprawił krawat.

— Przeciwnie, ja z zasady grosza nie daję nigdy ubogiemu, gdyż to do celu nie prowadzi bynajmniej. Czyż można ulżyć kiedy prawdziwej nędzy? Ona się kryje, nie narzuca, a jej płaszczykiem osłaniają się różni wyzyskiwacze, którzy żyją na jej rachunek... Zresztą, tak zwani biedni ludzie sami sobie winni po większej części, a przytem są jacyś dziwni. Na okazaną im pomoc patrzą, jak na jakiś obowiązek ze strony bogatszych, nie uczuwając żadnej wdzięczności. Przytem są to po większej części ludzie źli i zepsuci...

— Podziwiam trafność i głębokość sądu pani. Szczególnie dziś w wieku zdawkowego liberalizmu, gdy tych, co przez pijaństwo i rozpustę do nędzy doszli, uważamy za jakieś ofiary, za wydziedziczonych... Śmiech mię porywa niejednokrotnie, gdy słyszę te dziecinne rozumowania. Pewnikiem jest dla mnie, iż człowiek pracowity i uczciwy nigdy do nędzy nie dojdzie... A zresztą, dziwnem nam się wydaje niepospolicie, gdy ktoś wymaga ode mnie naprawy warunków, których ja nigdy nie psułem... Czy mogę prosić o szklankę herbaty?..

W tej chwili przez okno, w którem powystawiane były różne przedmioty, do bazarowej sali zajrzał Lentecki.

— Dawno się już nie piło herbaty, panie Lentecki. Wprawdzie dziś zimno nie jest, ale wypiłoby się jej, gdyby były pieniądze. Najporządniejszemu przecież człowiekowi zdarza się czasami nie mieć grosza przy duszy, panie Lentecki. Nic na to nie poradzisz.

Wacław C-owski.

przy drzwiach kościelnych trzy razy, ma to znaczyć, że żona będzie miała nad mężem zawsze górę — albo wyrażając to trywialnem przysłowiem, zawsze go objedzie. Skoro do domu weselnego wejdą, siadają razem, aby jednego z nich prędzej z domu nie wyniesiono.

Treść następnego rozdziału zawiera się w opisie zwyczajów Bożego Narodzenia, Nowego roku, Trzech Króli, Zapust, Wielkanocy, Wielkiego Piątku i Zielonych Świątek, Sobótki, święcenia ziela i owsa. Zwyczaje te i obrządki przedstawiają wiązankę całkiem znaną. Nadmienimy kilka słów o obchodzie sobótki. Według pewnego mniemania sobótki palą się dlatego, że jak Pan Bóg słońcem obświeci ludzi, tak dobry gospodarz powinien ogniem obświecić swe pola, wtedy czarownice do takich miejsc nie mają przystępu. Ale jeżeli gospodarz jest zły i niemiłosierny, wtenczas czarownice w czasie palenia sobótki siedzą na sąsiedniej górze do tego samego gospodarza należącej i na niego czyhają. Lud bardzo często różne obchody, których źródło zakorzenia się w innych zupełnie stronach życia, sprowadza do obrzędów uświetniających i obwarowujących sprawne i bezprzeszkodne pełnienie funkcyi gospodarczych.

Rolnictwo i rybołówstwo są głównemi zajęciami ludności kaszubskiej. Kociewiacy tylko pierwszem się trudnią, bo ani nad morzem nie mieszkają, ani jezior tyle, ile kaszubi, nie mają. Do prastarych zwyczajów żniwiarskich, nawet tam, gdzie się dosyć dobrze utrzymały, jak na północnem Kociewiu, zakradł się pewien zamęt, a następnie dowolne zmiany. Przemysł domowy dziś już tylko tu i owdzie się utrzymał. Jeszcze przed dwudziestu laty kaszubi ubierali się w ciemnogranatowe długie sukmany o szerokim stanie; nawet chłopcy uczęszczający do gimnazyów przybywali w ubraniach własnej roboty. Obecnie tylko u starszych widzi się samodziały, reszta naśladuje modny strój miejski. Nawet płótna nie wyrabiają już dużo, bo len tylko w lepszych okolicach jeszcze sieją. Proces zanikania starodawnych form i zwyczajów odbywa się z siłą żywiołową. Ostatnie lat dziesiątki prawie do szczętu wyrugowały zabawy ludowe, a z niemi ucichły piosnki, i ledwie starsi pamiętają ich okruchy. Uwodzenie dziewcząt zdarza się częstokroć; bardzo rzadko jednak uwodziciel zaślubia swoją ofiarę. Te stosunki są nicią czerwoną wielkiej ilości piosnek ludowych, które zwykle rozpoczynają się od czułych uniesień dwojga zakochanych, a kończą się wrogiem rozdwojeniem i rozpaczą z jednej, szyderstwem zaś z drugiej strony. Wiara w rozmaite duchy jest upowszechniona i gruntuje się na starodawnych zabobonach religijnych. Najwięcej podań i legend wiąże się z krośniętami, które gdzieindziej nazywają się kapryśnymi ludkami, a u serbów łużyckich wprost ludkami. Nie są to duchy właściwie, lecz rodzaj karłów, mieszkających pod ziemią. Starają się oni chętnie dopomagać ludziom. W jednym wypadku tylko stać się mogą nieprzyjaznymi, a mianowicie przez zabranie nowonarodzonego dziecka, a podsunięcie swojego.

W istnienie istot, *zmorami* zwanych, powszechniej jeszcze lud wierzy, niż w istnienie krośniąt, ale czem są owe istoty, dokładnie nikt nie wie; częstokroć łączą je z czarownicami i wogóle przeważa mniemanie, że to są właściwie ludzie, głównie kobiety, które zamieniają się w nocy na zmory i różnym stworzeniom dokuczają, nie mając nawet częstokroć wiadomości o tem, a przynajmniej nie mogąc się od tego powstrzymać.

Jak z powyższego widać streszczenia, jest to monografia poważna i wszechstronnie skreślona.

Br. Ch.

LITERATURA I SZTUKA.

SZTUKA I LUD.

I.

Sztuka nowoczesna stała się na wskroś mieszczańską. Dla mieszczaństwa dziś pracuje dłuto, paleta i pióro. Artyści starannie unikają podobnie brzydkich tematów i wolą snuć wątek miłości w najrozmaitszych jej przejawach lub dawać obrazy jednego, pełnego zadowolenia i sytości życia burżuazyi. Nie brak nawet krytyków i estetyków, którzy usprawiedliwiają taki stan rzeczy. „W sztuce — mówią — nie powinny znajdować oddźwięku walki i zapasy świata zewnętrznego, ma ona pozostać dziedziną poświęconą, w której milkną głosy zmieszane i wołania dzikie, daleką od waśni i niesnasek stronniczych, ma być światem sama dla siebie. Kwestye społeczne — dowodzą dalej — o ile te wogóle istnieją, należą do parlamentu; w teatrze, w galeryi obrazów nie ma dla nich miejsca. Rylec plastyka, jak pieśń liryka nie powinny zniżyć się do roli narzędzi agitacyjnych; artyści ubliżaliby sobie, gdyby zadosyć uczynili tego rodzaju wymaganiom.“

A dzieje się tak nietylko za naszych czasów. W wiekach średnich służyła naprzód kościołowi, a potem rycerstwu, w epoce Odrodzenia nic się nie zmieniło pod tym względem, zarówno papieże, jako i władcy *minorum gentium* najgorliwszymi byli orędownikami sztuk pięknych, które znów przez wdzięczność oddały się im w zupełności. Sztuka francuska z czasów Ludwika XIV znała tylko jeden cel najwyższy — uświetnienie *roi soleil*.

U schyłku wieku XVIII zeszła do grobu sztuka arystokratyczna, a w wieku XIX stała się mieszczańską, nie demokratyczną, ale burżuazyjną.

Czy spełniła zadanie swoje względem ludu, czy ma przyszłość przed sobą, oraz czy i jakie w prądach jej pożądane są zmiany?

Takie pytania stawia sobie w najnowszej książce swojej Dr. Emil Reich *), usiłując odpowiedzieć na nie w dwóch częściach. W pierwszej, zatytułowanej „Sztuka dla ludu,“ wykazuje, że pomimo przeszkód wszelkich, obok sztuki mieszczańskiej nieśmiało poczyna wyłaniać się, tłumiona wszędzie i zewsząd wypierana, wielka, prawdziwa sztuka ludzkości, oraz co wogóle uczyniono dotychczas, aby zapewnić ludowi udział w życiu cywilizacyjnem naszej ery; w drugiej, pod napisem „Lud dla sztuki,“ wypowiada pragnienia, zastanawia się nad środkami, jakieby przedsięwziąć należało w celu udostępnienia klasom niezamożnym płodów ducha artystycznego. „Czego chcemy — powiada — da się wyrazić w krótkich słowach: chcemy, aby sztuka przestała być mieszczańską, to jest rośliną cieplarnianą bez styczności ze światem otaczającym, trwożliwym przybyszem, którego złamać może każdy ostrzejszy powiew wiatru, lękającym się zetknięcia z twardą rzeczywistością, niewielu tylko szczęśliwym ku uciesze; aby natomiast stała się ludową, drzewem, którego korzenie w życiu ludu tkwią głęboko i które stamtąd czerpie wilgoć i siłę, aby zamiast kosztowną zabawką dla garstki nielicznej, była potęgą ożywczą dla wszystkich.“

Stawiając żądania tego rodzaju, Reich zaznacza wyraźnie, iż nie chodzi mu bynajmniej o narzucanie tematów artystom, ale o obalenie owych szranek małostkowych, które ducha twórczego zmuszają do produkowania tego tylko, co się podoba burżuazyi. Przytem wyjaśnia, iż i sztuka dzisiejsza, bez względu na jednostronne swe stanowisko klasowe, może stać się ważnym czynnikiem w wychowaniu ludu, ponieważ dzieła jej wywołują w nas zachwyt i wtedy nawet, gdy znajdują się w sprzeczności ze zwykłym naszym sposobem myślenia, oraz, że niezgodność zapatrywań, która w życiu rzeczywistem prowadzi najczęściej do rozdźwięku, tu znika łatwo wśród rozkoszy czysto estetycznej. Zresztą, większa część dzieł sztuki już w założeniu swojem jest neutralną i daleką od sprzeczności klasowych; nie należą tu naprzykład wcale malarstwo krajobrazów, a zwłaszcza muzyka w najrozmaitszych jej przejawach.

Zaczątki „sztuki dla ludu“ malarstwa francuskiego Reich widzi w obrazach Eugeniusza Delacroix, Horacego Verneta, przedewszystkiem zaś Gustawa Courbeta i Jana Franciszka Milleta. Courbet nie był zwolennikiem sztuki dla sztuki. Znał on życie biedaków, pracujących w pocie czoła i litował się nad nimi. To też zrozumiał całą nieprawdę owych utworów, obliczonych jedynie na potrzebę bogaczy i powziął postanowienie malować to tylko, co widział i czego doświadczył. Wyrazem tego postanowienia są dwa wielkie jego płótna, które były wystawione w Salonie paryskim w r. 1851 Millet pisał do późniejszego biografa swego Alfreda Sensier, że odtąd przedstawiać będzie lud wiejski takim, jakim jest w istocie, przenosić na płótno całą niedolę parobka wioskowego, którego „od głowy do chodaków drewnianych zezwierzęciła praca nad siły.“ Celu zaś tego dopiął najzupełniej w obrazie „Człowiek z siekierą,“ który był wystawiony w Salonie w r. 1863 i ściągnął na twórcę swego grad pocisków i zarzutów najrozmaitszych. Postacie Milleta istotnie brzydkie są i wstrętne, ale dla tego, że właśnie taki był zamiar artysty, który chciał pokazać, jak wyglądają ludzie, którym nędza wyciska szpik z kości.

Z malarzy angielskich wyobrazicielem nowego kierunku jest Ford Madox Brown, autor znajdującego się w galeryi manczesterskiej obrazu „Praca,“ a w Niemczech ten sam kierunek reprezentują Adolf Menzel („Nowoczesne cyklopy“), uczeń jego Franciszek Skarbina („Gałganiarz Jan Baptysta,“ „Wyrobnik“), Bokelman („Bezrobocie w stolarni“), August Heyden („Ocalenie górnika“) i Emil Schwabe, którego obraz „Delegacya robotników“ wzbudzał podziw na berlińskiej wystawie międzynarodowej w r. 1891. W jej oddziale belgijskim zwracały uwagę trzy pokrewnej treści obrazy Leona Frédérica, przedstawiające poranek, południe i wieczór dnia z życia „kredziarzy“ i Meuniera „Powracający górnicy.“

Do tej samej kategoryi Reich zalicza obraz znajdujący się w galeryi narodowej w Chrystyanii „Walka o byt“ pędzla Chrystyana Krogh, autora romansu p. t. „Albertyna,“ statuę rzymskiego rzeźbiarza G. Ginotti, nazwaną „22 maja“ oraz pracę rzeźbiarza niemieckiego Ludwika Dümbauera z godłem „Głód.“ (Ta ostatnia była na wystawie wiedeńskiej w 1892 roku). Obok tego Reich wspomina jeszcze, że i w dziedzinie malarstwa religijnego dokonał się przewrót stanowczy, który ma wielkie społeczne znaczenie. Podobnie, jak sztuka nowoczesna wogóle ma na myśli tylko klasy posiadające — grzeczniej mówiąc „klasy inteligentne“ — tak samo i bóstwami jej są osobistości dystyngowane i ubrane elegancko. Przyszedł jednak Fritz von Uhde i przywrócił prawdziwą myśl chrystyanizmu, zgodnie z duchem ewangielii przedstawiwszy Zbawiciela, jako dobroczyńcę strudzonych i obarczonych. Pierwszy obraz

*) *Die bürgerliche Kunst und die besitzlosen Volksklassen*. Lipsk, 1892, str. 276.

Uhdy „Puśćcie do mnie dzieci“ w r. 1884 sprawił głębokie wrażenie, a drugi „Pójdź, Jezusie, bądź naszym gościem“ z niemniejszym został przyjęty zapałem. Na obrazach tych zamiast Chrystusa, jak go przedstawiają faryzeusze i celnicy nowocześni, widzimy prawdziwego przyjaciela i obrońcę warstw niższych.

Na polu literackiem zapowiedź lepszej przyszłości objawiła się naprzód w Anglii, która, lubo jest ojczyzną kapitalizmu nowoczesnego, niemniej przeto, a może właśnie dla tego była widownią najostrzejszych przeciwko niemu napaści. Pierwszym z pisarzy walczących za sprawę ubogich i upośledzonych był Tomasz Carlyle w dziele *Past and present* (1843). Z nim ręka w rękę idą Benjamin Disraeli (lord Beaconsfield) w romansie „Sybil“ i Karol Dickens w „Szkicach londyńskich,“ „O powieściach wigilijnych,“ „Ciężkich czasach“ itp. Za tą trójcą ciągnie się cały szereg poetów i nowelistów, jak: Karol Kingsley, Douglas Jerrold, panie: Harriet Martineau, Gaskell, George Elliot, oraz Wiliam Marris, Hubert Bland i Bernand Shaw.

Z pomiędzy autorów francuskich za „najbiedniejszemi z biednych“ ujmowali się Béranger i Barbier (1833 i 1837), George Sand i Wiktor Hugo, Alfons Daudet i Emil Zola. W powieści Daudeta „Jack“ życie robotnika fabrycznego skreślone jest z porywającą siłą. Wszystkie jednak obrazy nędzy, zaćmił Zola, napisawszy „L'assomoir“ i „Germinal,“ owe przerażająco prawdziwe odbicia ujemnych stron cywilizacyi nowoczesnej. Do pisarzy tej samej barwy zaliczyć można Franciszka Coppée, o którym w porównaniu z szorstką pięścią Zoli, rzec można, iż jest poetą w glansowanych rękawiczkach. Jak silnem jest jego poczucie sprawiedliwości o tem najlepiej świadczy jego „Bezrobocie kowali.“ Niedługą tę listę uzupełniają: Huysman („Soeur Vatar“), Bauvier („Malheur aux pauvres“), Richepin („Chansonns des gueux“), Gill, Bruant, Chatelain i inni. W piśmiennictwie ruskiem kierunek ten reprezentują: Dmitry Grigorowicz, Iwan Turgeniew, Garszyn, Hleb Uspenskij, Lew Tołstoj, Korolenko, Aleksy Potiechin, Niekrasow i inni. W literaturze norwegskiej za tło do utworów swoich obierają niedolę ludu: Chrystyan Elster, Knut Holt, Ibsen, Björnstjerne-Björnson, Aleksander Kielland i Knut Hamsun, którego powieść „Głód“ znana jest czytelnikom naszym.

Przystępując do scharakteryzowania nowszych prądów w literaturze niemieckiej, Reich cofa się o lat dziesiątek i otwarcie wyznaje, że przed tym czasem człowiek w utworach jego ziomków zaczynał się nie od barona wprawdzie, ale od tego, który kupował książki. Masy ludowe więc, które książek nie kupują, poprostu dlatego, że nie mają pieniędzy, w utworach tych nie znajdowały uwzględnienia. Najulubieńszą stroną duchową dla niemców w tym okresie były romanse historyczne Ebersa i Dahna, epika i liryka Juliusza Wolfa i Rudolfa Baumbacha, komedye Mozera i Schöntana, sztuki Lindaua, nakoniec rozbrzmiewające frazesami tragedye Wildenbrucha. Ale niebawem przyszła reakcya. Oburzone i przesycone tym mdłym idealizmem młode talenty przerzuciły się do najskrajniejszego naturalizmu. Naturalizm zaś ten ma dwa odcienie: jeden sam sobie jest celem i budzi wstręt, drugi jest środkiem prowadzącym do celu i ma wielką przyszłość przed sobą. Pisarze pierwszego kierunku, malarze nagiej zmysłowości i zgnilizny moralnej, są produktem rozkładowym dawnych ideałów i ostatnimi wieszczami burżuazyi. Zwolennicy drugiego, których słusznie już do XX stulecia zaliczyć można, mają własne ideały i w piersiach noszą niespożytą wiarę w przyszłość ludzkości. Do takich naturalistów, z powagą i bezstronnie traktujących zagadnienia społeczne, należy Max Kretzer, autor romansu obyczajowego „Upadli,“ który trafnie przezwano berlińskim odpowiednikiem „Assomoiru“ i który ani pod względem siły, ani co do głębokości obserwacyi bynajmniej nie ustępuje dziełu francuskiego pisarza. Z późniejszych prac Kretzera na wymienienie zasługuje romans p. t. „Majster Timpe,“ w którym z mistrzostwem skreślona jest rozpaczliwa walka upadającego przemysłu drobnego. W tym samym rzędzie postawić należy: Ferdynanda von Saar, Fryca Mauthnera, autora powieści „O ubogim Franciszku,“ Maryę von Ebner-Eschenbach („Każe całować rękę“), Minnę Kautsky, Ludwika Anzengrubera („Czwarte przykazanie“), Roseggera („Jakób ostatni“), Wilhelma Raabego („Wśród starego żelaztwa“) i innych.

Najmocniejszą stroną tego naturalizmu jest liryka, z pośród jej przedstawicieli Reich wymienia: Reinholda von Stern, Arma Holz, Johana Schlaf, Juliusza Hart, Ryszarda Dehmel, Brunona Wille, Andrzeja Schen i Henryka Greulicha.

Z prac dramatycznych tego pokroju autor zwraca uwagę na tragedyę Konrada Alberti „Chleb,“ Ludwika Fuldy „Raj utracony,“ Sudermana „Honor“ i Hauptmana „Przed wschodem słońca,“ „Święto pokoju,“ „Samotni,“ „Tkacze,“ Grelinga „Równe prawo‘ i Hartlebena „Hanna Jagert.“

W zakończeniu części pierwszej rzuca jeszcze kilka uwag ogólnych. Najszczytniejszem i najpilniejszem zadaniem najbliższej przyszłości winno być stworzyć nie „sztukę dla sztuki,“ ale „sztukę dla ludu.“ Sztuka dać nam może nieskończenie więcej, aniżeli słodkie marzenia odludków-dziwaków, potrzeba tylko, aby za radą Goethego sięgnęła w pełnię życia ludzkiego. Każdy żyje, ale nie każdy zna życie; skoro nam atoli tę znajomość zapewni sztuka, głębiej i silniej oddziała na całą istotę naszą, aniżeli wiedza, barwne jej obrazy bowiem potężniejsze są, aniżeli czcze formuły. Niechaj tedy sztuka uświadomi sobie to wielkie zadanie i odpowiednio je spożytkuje.

(D. n.).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Lwów, 21 marca.

Zebrali się tu dnia 11 marca członkowie jednej z najżywotniejszych instytucyi, jakie w drugiej połowie bieżącego stulecia u nas powstały — Towarzystwa wzajemnej pomocy oficyalistów prywatnych. Pragnęli oni uczcić skromnym obchodem dwudziestopięcioletnie swego istnienia, rzucić okiem wstecz na dzieje ćwierćwiekowego żywota korporacyi, która niegdyś przez nich powołana do życia z małych początków, dziś stała się potęgą. A z dumą mogą to uczynić! Mało bowiem któremu stowarzyszeniu dane jest w tak krótkim czasie dojść do tak olbrzymich rozmiarów, stanąć na tak granitowej podstawie. W roku pierwszej konstytucyi i zniesienia pańszczyzny (1848), kiedy to wszystkie warstwy ludów monarchii austryackiej po długim ucisku wolniej odetchnęły i jak gdyby przeczuwając, że nagła, większa nawet niż dzisiaj, swoboda autonomiczna niedługo potrwa, kiedy zajęto się gorączkowo pracą około rozbudzenia tak długo powstrzymywanego rozwoju we wszystkich kierunkach życia społecznego, przystąpiono też do utworzenia instytucyi dla oficyalistów prywatnych. Potrzebę jej odczuwali nietylko oni sami, ale także szlachetniejsi właściciele ziemscy. Żadna prawie warstwa społeczeństwa nie była tyle politowania godna, co stan urzędników prywatnych. Postawieni z powołania swego w drażliwem położeniu, bo między chlebodawcą a jego najemnikiem, pracowali oni gorzko, narażając zdrowie i życie swe na tysiączne niebezpieczeństwa, co gorsza — zaprzedawali nieraz sumienie, aby tylko utrzymać dla siebie i swoich ten kawałek chleba, który ich ledwie wyżywić potrafił. A gdy słabość lub starość odebrała siły, nie mieli kącika, gdzieby znużone kości mogły wypocząć. Byli proletaryuszami w całem tego słowa znaczeniu; nie dziw więc, jeżeli wylęgały się często między nimi namiętności, które cały stan w oczach społeczeństwa piętnowały pogardą.

Rogowski, autor pierwszego projektu ustawy Towarzystwa domagał się od właścicieli ziemskich, aby ci w własnym interesie, chcąc mieć dobrych i moralnych pomocników, zajęli się ich przyszłością. Niestety, niedługo trwał ten sen braterstwa. Po upadku Towarzystwa oficyaliści przez długie lata nie kusili się założyć nowego stowarzyszenia, znosząc w smutku a często i w zwątpieniu swój ciężki los tułaczy. Starsza brać nie poczuwała się do żadnej działalności na rzecz swych oficyalistów, dopiero gdy stan ten w zupełnem zaniedbaniu podupadł zupełnie, kiedy ze wszystkich stron rozchodziły się narzekania na brak zdolnych, pracowitych, wiernych oficyalistów i służących gospodarskich, od których po większej części dobro rolnictwa zależy, zaczęto myśleć nad sposobami podniesienia w nich moralności, rozwinięcia przywiązania do swoich obowiązków. Lecz, aby tego dokazać, wypadałoby pomyśleć o polepszeniu i zabezpieczeniu ich bytu. W tej mierze podał książę Stanisław Jabłonowski członek komitetu Tow. gosp.-roln. nowy poroniony projekt zawiązania „Stowarzyszenia emerytalnego dla oficyalistów i służących gospodarskich.“

Charakter klasy szlacheckiej był egoistyczny. Miara i waga, któremi tak gardziła — oto jej prawdziwe drzewo genealogiczne. Chlebodawcy, począwszy traktować oficyalistów jak maszyny, które po zużyciu wyrzucali, własny swój rozpoznali interes. Maszyna nie ma samowiedzy o sobie i wyrzucona za płot łez nie roni, ale oficyalista wypędzony na starość cierpi męczarnie. Zmierzywszy jednym łokciem długość służby z obowiązkiem wynagrodzenia, zapomniano, że na tej granicy nie kończą się obowiązki wspólne, że tu dopiero zaczyna się rdzenny obowiązek. Po długich w łonie Towarzystwa gospodarskiego rozprawach bezcelowych komisyj i podkomisyj założyli oficyaliści w r. 1867 kamień węgielny pod pierwsze „Towarzystwo wzajemnej pomocy oficyalistów.“ Celem jego jest wspieranie moralnych i materyalnych interesów oficyalistów prywatnych, a dąży ono do tego przez udzielanie członkom tudzież pozostałym po nich wdowom i sierotom zapomóg stałych; zarządzają zaś sprawami jego tylko władze pochodzące z *wolnego wyboru członków*. Długi czas chwiało się Towarzystwo w swoich podstawach, głównie wskutek ciągłych zaległości. Jest to smutny a naszemu społeczeństwu niestety właściwy objaw braku wytrwania i oszczędności oraz wogóle lekkomyślnego zapatrywania się na przyszłość. Towarzystwa asekuracyjne mogłyby wiele powiedzieć o tej naszej wadzie. Zaległości, które się pojawiły w drugim roku istnienia Towarzystwa, powtarzały się rok rocznie i powtarzają dziś jeszcze, rosnąc wraz z wzrostem majątkowym Towarzystwa, które wobec tej gniotącej zmory jest bezsilne. Trudno bowiem zastosowywać całą surowość statutu tam, gdzie wskutek wykreślenia przepada cała kilkonastoletnia wpłata, uiszczona przez członka

z ciężko oszczędzonego grosza. Nowe Towarzystwo musiało przejść w pierwszych latach przez ogień próby, zanim się ostatecznie jego opinia, a stąd i liczba członków ustaliły i wzmocniły. Czy ono jest dobrodziejstwem dla oficyalistów prywatnych, na to odpowie nam przeciwstawienie stosunku urzędnika do oficyalisty. Urzędnik posuwając się w wieku, posuwa się zarazem wskutek zasług na wyższy stopień i wyższą płacę tak, że gdy dojdzie do lat pewnych, otrzymuje na starość emeryturę w wysokości pobieranej ostatnio pensyi; oficyalista prywatny w nierównie cięższym zawodzie swoim pracując, targa siły, staje się mniej użytecznym i skutkiem tego schodzi z wiekiem na mniejszą posadę i mniejsze utrzymanie; a jak się często dzieje, wskutek sprzedaży, wydzierżawienia majątku lub z innych od niego niezawisłych powodów, opuszczać musi posadę, szczęśliwy, gdy otrzyma zatrudnienie, które mu ledwie na życie wystarcza. Jeżeli jest członkiem a nie może dalej pracować, daje mu Towarzystwo na podstawie jego udziałów pensyę taką, jakiej mu nie da żadne Towarzystwo asekuracyjne.

W 6-tym roku swego istnienia rozdzielono już stałe emerytury tak członkom niezdolnym do pracy, jak wdowom i sierotom po nich pozostałym. Wydział centralny, zdając sprawę z czynności swych, zaznaczył tę chwilę w dziejach Towarzystwa, kiedy poczynano zbierać plon 25-letniej pracy i oszczędności członków, którzy z ciężko zapracowanego grosza odkładając pewne kwoty, a przyświecając zarazem innym stowarzyszeniom przykładem solidarnej pracy, położyli niewzruszone podwaliny dalszego bytu i rozwoju instytucyi. Nie ma u nas drugiej, która by w tak krótkim czasie do tak świetnych doprowadziła rezultatów, zebrała przeszło milionowy (1,068,941) fundusz stałych zapomóg, ubezpieczała byt członków tudzież wdów i sierot po nich w stosunku 75% do złożonych wkładek, rozdzieliła przeszło pół miliona złr. (509,930 fl.).

Prościcki.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Konwersya. — Rada miejska.

W ostatnich dniach odbyły się zapisy na nową 4-procentową pożyczkę galicyjską, przeznaczoną przedewszystkiem na konwersyę długów indemnizacyjnych i innych drobniejszych zobowiązań, przez kraj zaciągniętych, powtóre zaś na uzyskanie środków dla podniesienia rolnictwa, handlu i przemysłu. Subskrypcya osiągnęła powodzenie nadzwyczajne. Do wymiany bowiem przedstawiono $^9/_{10}$ dotychczasowych obligacyj indemnizacyjnych, zgłoszenia zaś do kupna za gotówkę są tak ogromne, że przy rozdziale uwzględnić będzie można zaledwie 2% zgłoszeń. Zaznaczyć przytem należy, że lista subskrybentów, obok bardzo znacznego udziału zagranicy, wykazuje jednak niezwykle żywy udział finansowych sił galicyjskich. Podobno w samym Lwowie pokryto 50 milionów (cała pożyczka wynosi niespełna 30 milionów), co jednakże nie powinno w błąd wprowadzić tych, którzyby wielką tę sumę chcieli przyjąć za miarę potęgi finansowej Lwowa; uczestnicy bowiem, znając warunki pożyczki, z góry przewidywali, że żądania tylko w bardzo małym stopniu będą uwzględnione. Powszechne panuje przekonanie, że olbrzymie powodzenie emisyi galicyjskiej i niedawno przedsięwziętych operacyj finansowych austro-węgierskich świadczy o zaufaniu do sił ekonomicznych monarchii, a także i Galicyi. Zdaje nam się jednak, że jest to złudzenie. Pomijamy Austro-Węgry — zajmuje nas w danym razie głównie Galicya. Nędzny stan stosunków handlowych, przemysłowych i gospodarczych tego kraju, który dziś już nie żartem zwie się Głodomoryą, jest tak ogólnie wszystkim i wszędzie znany, że o „zaufaniu“ takiem — o zaufaniu bezwzględnem — mowy być nie może. Jest ono co najwyżej *względne*, tj. większe, aniżeli np. do finansów Bułgaryi, która dlatego płacić musi 6% od ostatniej swojej pożyczki kolejowej. W powodzeniu emisyi galicyjskiej upatrujemy raczej znak braku wszelkiej przedsiębiorczości w społeczeństwie i dowód upadających coraz bardziej stosunków ekonomicznych. Wykazuje ono, że są kapitały, szukające lokacyi; skoro są, to z natury rzeczy ich właściciele powinniby się starać o jaknajwiększy z nich dochód, czyli o jaknajwyższy procent. Galicya nie posiada żadnego prawie przemysłu i handlu; kapitał więc ma tu jeszcze bardzo obszerne do działań pole i możność uzyskania znacznych odsetek. Dlaczegóż więc zadawala się on dochodem 4-procentowym i dlaczego wciąż słyszymy biadania nad brakiem kapitałów obrotowych? Odpowiedź prosta: społeczeństwo nie ma ani ducha przedsiębiorczego, ani zaufania do przedsiębiorstw. O istnieniu kapitałów dowiadujemy się wtedy dopiero, kiedy państwo lub kraj wezwą do zapisów na zagwarantowaną pożyczkę. W takiej chwili grosze wyłażą z kas, niby robactwo po deszczu. Zysk z papierów jest mały, ale względnie pewny, w każdym zaś razie pewniejszy od dochodu z fabryki. A przytem spokojniejszy. Odcinanie kuponów nie wymaga ani trudów, ani ryzyka: jest to praca, jak Bóg przykazał — rzetelnie filisterska. Powodzenie więc pożyczki nie powinno napawać dumą Galicyi, lecz przeciwnie wskazać, że w niej coś dawno się zepsuło i dalej psuć się będzie, jeżeli zło energicznie usuniętem nie zostanie. Na cele społeczne uzyskano z pożyczki kilka milionów — jest je na co użyć. Zobaczymy tedy, czy sfery decydujące użyją tych funduszów na podszewki do swojej dumy politycznej, czy też dotrzymają szumnych przyrzeczeń, dawanych wyborcom wtedy, kiedy idzie o zyskanie mandatów.

Na jednem z ostatnich posiedzeń krakowska Rada gminna zastanawiała się nad referatem adwokata Stycznia, przedstawionym w imieniu sekcyi prawniczej a zawierającym sprawozdania i wnioski o projekcie reformy podatku zarobkowego, który Rada ma wprowadzić do Izby posłów. Ponieważ referent poprzestał niemal na prostem stwierdzeniu faktu, iż podatki są istotnie za wysokie, przeto z rozmaitych stron żądano gruntowniejszego opracowania przedmiotu. Pomimo oporu p. Stycznia, który oświadczył, że studya uniwersyteckie już ukończył i wracać do nich nie myśli, Rada postanowiła nie zatwierdzić wspomnianego sprawozdania i poleciła sekcyi prawniczej wysłuchanie opinii kół przemysłowych i fachowych Krakowa, a następnie ponowne przesłanie referatu z uwzględnieniem dotychczasowych obrad komisyi podatkowej Rady państwa i orzeczenia wydanego już w tej sprawie przez tutejszą Izbę handlową.

Projekt kontraktu wydzierżawienia nowego teatru został oddany pod sąd znawców: pp. Koźmiana, Estreichera i Bałuckiego.

Ferropar.

OFIARA POSTĘPU.

Leżą przedemną zżółkłe ze starości kartki rękopisu. Z przykrem uczuciem biorę je do ręki — przed kilku laty nie dotknąłbym ich jeszcze. Jest to czyjaś spowiedź, napisana z wyraźnem życzeniem zużytkowania jej w takiej rozciągłości, jak to uznam za stosowne. Pochodzi od jednej ze sympatyczniejszych osób, jakie zdarzyło mi się spotkać kiedykolwiek, asystenta przy katedrze chemii w pewnym uniwersytecie. Dotknięty obłędem samobójczym wraz z niepohamowaną żądzą utonięcia w Nirwanie a jednocześnie zachowując całą przytomność umysłu, usiłował poddać rozbiorowi ów splot okoliczności, w którym utracił wiarę w siły swoje a zyskał rozpaczliwą filozofię zwątpienia. Może spowiedź owa miała też inne zadanie, jakie posiada u niektórych mistyków, odzyskujących spokój po oczyszczeniu swego sumienia i kąpiących się wtedy w uczuciowym zachwycie czystości duchowej; może, po nieudanem pierwszem targnięciu się na życie, autor zamierzał rozbiorem źródeł swego zwątpienia zakląć siły, rozszarpujące jestestwo jego i niweczące spokój. Zresztą, uczucia natury społecznej, którym nie przeniewierzył się nawet wtedy, gdy znienawidził siebie samego, kierowały jego ręką, do ostatniej chwili bowiem pojmował, że inni inaczej odczuwają przyjemności bytu, a w swej spowiedzi jak gdyby zapalał kaganek, który miał przelać światło na tę przeklętą drogę, prowadzącą do piekła wewnętrznego. Wie, że jest chorym i że inni są zdrowi, rozumie źródło swojej odrazy do życia i pojmuje, że inni mogą pełną garścią czerpać w niem radość i otuchę. Gotując się do zakosztowania Nirwany, zwraca się ku braciom w jednej wielkiej ludzkości i nawołuje ich do szukania warunków rozumnego życia. „Życie, woła w jednem miejscu, rozszarpało mnie, jak i wielu innych. Czyż moja historya nie jest losem wielu? Iluż to z nas padło przedwcześnie, strawieni przez gorączkę życiową!“ Żywot jego jest w rzeczy samej biografią wielu innych, z których może nie wszyscy go skrócili, lecz wszyscy się zmarnowali: jedni utonęli w narkotyku alkoholicznym, inni stali się żywymi trupami, jedzącymi, śpiącymi, ale bez żadnej myśli i siły. Tą retortą, w której gorączka życiowa ich strawiła, wyssała soki żywotne, zniechęciła do czynu, była brudna i podstępna walka codzienna o najzwyklejszy kawałek chleba, przeciw której oburzała się ich natura, obficie uposażona w uczucia społeczne. Taką samą dosłownie spowiedź złożyłby nie jeden rozbitek, spoglądający ku brzegom Nicości. Nasz znajomy już od dzieciństwa musiał ciężko pracować, a nie tylko na siebie, ale i na matkę. Już w duszy wyrostka powstaje walka wewnętrzna, pomiędzy chęcią kształcenia samego siebie i pójścia za głosem uczuć szerszej natury, a przywiązaniem do matki, nakazującem odepchnąć ukochane rojenia i za wszelką cenę szukać zarobków. Zapasy takie rzadko kiedy wyrabiają hart duszy, raczej wyczerpują bezowocnie siły i zamieniają młode lata na pasmo sprzecznych dążeń: rzucania się w jakimś kierunku i rozpaczy z powodu odepchniętych ułud, to znowu zwracania się z tęsknotą ku odtrąconym rojeniom i wyrzutów sumienia, wywołanych zaniedbaniem obowiązków rodzinnych. Wziąłby się chętnie do studyów nad naukami filozoficznemi i społecznemi, a tymczasem względy zarobkowe zmuszały go do przepędzania dni całych w pracowni chemicznej, wówczas gdy myśl bujała gdzieś daleko... I te wszystkie walki wewnętrzne z rozterką praktyczną, ta odraza ku otrzymywanym metylom i etylom oraz łaknięcie innej wiedzy, takiej, która serca ludzkie pobudza do żywszego tętna i rozżarza iskry zapału, ta miłość dla matki, a później dla siostry, która, aby bratu wysłać pięć rubli miesięcznie, po 16 godzin stała za straganem z pieczywem, ta konieczność poddawania szyi pod obrożę praktyczności codziennej, oraz popęd cygański do niezależności i oddaniu braciom w Ludzkości ostatniej koszuli na grzbiecie, wszystkie te sprzeczne siły rzućmy na tło wieloletniego

niedojadania, które wycieńczało organizm fizyczny i następnie oddziaływało też ujemnie na moc charakteru. Całymi miesiącami musiał żyć z zapomogi, na którą składali się koledzy, dbać nie o to aby być sytym, lecz tylko, żeby nie być zbyt głodnym, przy pomocy chemii układać podręcznik swego gospodarstwa o 10-rublowym budżecie miesięcznym i poszukiwać pokarmów, które przy najmniejszym wydatku pieniężnym dałyby organizmowi najwięcej substancyi pożywnych! Nie o przyjemność szło w tych ucztach, ale o zdobycie smarowidła i opału własnej maszynie. To też organizm, zubożały już od urodzenia, zwolna utracał żywotność; nędza własna i cudza zrodziły w duszy filozofię wszystkich tych rozbitków, którym silne uczucia społeczne nie pozwoliły użyć pazurów w walce o byt i nędza wycieńczyła ciało. Dodajmy, że umysł zbyt wcześnie skąpał się w ideach, które działają denerwująco na każdy młody organizm i niekiedy sprowadzają zupełne wyczerpanie energii, zwłaszcza jeżeli ktoś jest naturą namiętną, jak u naszego miłośnika spokoju, łaknącą wszystkiego w stopniu najwyższym: upicia się wiedzą i działalnością, uściskiem dziewczęcia i widokami przyrody. Fale te uderzały o siebie i pryskały niezaspokojone, pozostawiając gorączkę trawiącą — rozum tylko patrzył trzeźwo i wykazywał niemożliwość godziwego zadowolenia wielu z tych łaknień. Jeszcze trzeźwiej spoglądał on na dalsze przeznaczenie swoje, na niezdolność do zajęcia jakiegokolwiek miejsca na tej uczcie życia. To też los pomiatał tym atomem nieprzystosowanym i dumnym. Wreszcie zdawało się, iż uśmiechnęła mu się dola lepsza, kiedy objął miejsce asystenta w uniwersytecie. Każdy inny zdjąłby wtedy z siebie wszelką troskę — wszak stanowisko to bywa obecnie pierwszym szczeblem do intratnej posady dyrektora jakiejś fabryki i niejeden praktyczny młodzieniec dopłaciby grubo, ażeby przez kilka tygodni nosić tytuł podobny. Ale dla naszego bezimiennego bohatera był to wyrok śmierci, oznaczał bowiem wyrzeczenie się ostateczne wszystkich rojeń. Walka wewnętrzna odezwała się głośniej, niż kiedykolwiek, w organizmie zupełnie wycieńczonym. Organizm nie wytrzymał tego rozdźwięku. Po chybionym zamachu na siebie nastąpił drugi i trzeci — i wreszcie społeczeństwo wyrzuciło z łona swego wiór nieprzystosowany.

Pamiętnik powstał wśród rozmyślań na starem cmentarzysku, położonem gdzieś nad morzem Czarnem w pewnej odległości od Odesy. Wszystkie zaciekania obracają się około znienawidzonej walki o byt z jej podejściami, oraz nierozumnego a żywiołowego „przypadku, miotającego człowiekiem i, niby dziecko psotne, niweczącego wszystkie jego plany i zamiary. Owo panowanie ślepego przypadku i współzawodnictwa są rysami, odróżniającymi dzisiejszą epokę dziejową od jej poprzedniczek. To też filozofia naszego obłąkańca Nirwany jest jakby odzwierciadleniem dzisiejszych stosunków życia społecznego w organizmie zubożałym, wycieńczonym, który pod działaniem przypadku nierozumnego zwątpił o mocy swojej i ludzkiej celowego kierowania potęgami społecznemi, a zarazem stracił wszelką chęć do życia. „Przypadek i walka o byt — oto dwa zasadnicze pojęcia. Co człowiekiem rządzi w życiu? Po prostu, zbieg niezależnych odeń okoliczności. Co go niszczy? Walka o byt w najobszerniejszem znaczeniu tego słowa, w której zwycięża nie koniecznie lepszy, lecz lepiej przystosowany!“ Zresztą zmarły czuje, że filozofia jego jest tylko rozumowaniem rozbitków, że ci, którym się w życiu powiodło, a raczej którzy do jego dzisiejszych wymagań są przystosowani, muszą z konieczności sądzić inaczej. „Jeżeli nie sprostrzeżono powszechnie, że przypadek rządzi światem, to tylko dlatego, że zwracamy uwagę na nielicznych wybrańców losu, którzy z walki o byt wyszli zwycięzko, a nie widzimy tej licznej rzeszy ludzi, którzy dążyli do tego samego celu, lecz los ich zawiódł i padli, jako mniej przystosowani do danych warunków.“ Myśl, że „zawsze będzie tylko pługiem dziejowym, nie zaś oraczem,“ doprowadza go do rozpaczy. Tu i owdzie stosunki społeczne przenosi na całą przyrodę i w rozwoju wszechświata widzi ślepą grę żywiołowo działających potęg. „Jeśli ludzkość jest rozwijającym się organem, przez który wszechświat dojść może do własnej świadomości, wtedy wszystko ma cel swój, jest uzasadnionem i słusznem. Lecz jeżeli ludzkość jest tworem przypadkowym, wynikiem igraszki sił przyrodzonych!?.. Pierwsze przypuszczenie jest nieprawdopodobne, drugie zaś szalenie rozpaczliwe. Miałażby przyroda kpić sobie z nas?! Przykre to zaprawdę widoki, które mogą spowodować apatyę i bezczynność zupełną. I cóż dziwnego, że nieszczęsny rozbitek widzi jedno tylko wyzwolenie z tego piekła cierpień wewnętrznych i zapasów i że kończy swoją spowiedź wezwaniem do śmierci

...Przybliż się blada, przybliż się cicha!
Odsłoń swe lica, spokojem piękne!
Ludzkość cię cała z trwogą odpycha,
Ja się nie zlęknę!!.

Zmarły opowiada swoje wrażenia, jakich doznał po przeczytaniu jednej z pierwszych książek — *Samopomocy*. „Smiles budził we mnie zaufanie do własnych sił, którego nie miałem; ba nawet pod wpływem tego dzieła wyrodziła się w ówczesnym moim młodocianym umyśle arogancka pewność siebie, przekonanie o wolnej woli u człowieka; cała moja filozofia ówczesna streszczała się w słowach, iż cierpliwość z pracą wszystko przemogą; nic nie zdawało mi się niemożebnem, trzeba tylko chcieć zrobić, a zawsze swego można dopiąć. Ba! dochodziłem nawet do wielkiego absurdu — zaprzeczania uzdolnień i gieniuszu!“ I cała ta ufność w siły własne została zmiażdżoną pod ciosami doświadczeń życiowych. Jedno tylko uczucie wytrzymało wszystkie burze wewnętrzne i zmarło dopiero wraz z organizmem — współczucie względem bliźnich, wrażliwość na ich cierpienia.

I oto w procesie ewolucyjnym dzisiejszego społeczeństwa startą została jedna z istot bardziej wyrobionych uczuciowości społecznej. A unicestwianie takich atomów filozofia mieszczańska zowie — postępem!..

K. R. Ż.

LIBERUM VETO.

Trzy podręczniki szczęścia małżeńskiego. — Książka Mantegazzy. — Jego zdanie o najmniejszem złem. — Rady praktyczne, które nie skutkują. — Poradniki Gausserona. — Najidealniejsza forma pożycia ludzkiego i jej wymagania przechodzące zwykły stopień sił i uzdolnień ludzkich. — Małżeństwo jako wymowny dowód dobroci ludzkiej. — Śmiech w męczeństwie. — Wieczny war kociołka.

Jeżeli od r. 1893 nie dostrzeżemy wyraźnej poprawy i większej harmonii w stadłach małżeńskich, to widać, że im nie pomogą najbardziej wypróbowane i najrozumniejsze środki. Wydaliśmy bowiem, zapewne skutkiem odczutej potrzeby, aż trzy podręczniki do tego przedmiotu: *Sztukę ożenienia się* P. Mantegazzy i *Gdzie szczęście?* oraz *Życie we dwoje* H. B. Gausserona. Jest w tych książeczkach wszystko, co śród pary człowieczej zajść może, a ponieważ pierwsza wyszła z rąk pisarza wielce utalentowanego i umiejącego przemawiać do serca, żałujemy niezmiernie, że nie ukazała się na początku karnawału. Niezawodnie ci, którzy tak zapamiętale hasali i podziękowawszy swym damom za przyjemność i zaszczyt, uciekali do domu, po przeczytaniu owej *Sztuki* byliby się tak rozpędzali w mazurze, że zatrzymaliby się aż przed ołtarzem. Bo daje ona rady wszystkim i we wszystkich wypadkach: mówi o małżeństwach z miłości, wyrachowania i żądzy, o doborze płciowym, wieku nowożeńców, sympatyach fizycznych, rasie, zgodzie myśli i uczuć, kwestyi pieniężnej, zazdrości, piekle, czyścu, raju itd. Więc posłuchajcie, chociaż nieco spóźnionego (dla kawalerów i panien) „głosu człowieka, który — jak sam powiada — studyował szczególnie kobiety,“ a swą książkę poświęcił niecierpliwym, żeniącym się zawcześnie, hulakom, żeniącym się za późno i niezdecydowanym. Jak wygląda małżeństwo dzisiejsze? Według Mantegazzy—licho. Człowiek-zwierzę bowiem zmieszał w niem brudnemi i występnemi rękami to, co było boskiego i ludzkiego na ołtarzu, wytworzywszy chaos z najróżnorodniejszych rzeczy, z najwznioślejszych i najniższych, z najszlachetniejszych i najnieczniejszych. Pieniądz najczęściej bywa najwyższą i ostateczną instancyą w sprawach małżeńskich. Do tego gnijącego organizmu uwodziciele wnoszą nowy pierwiastek rozkładu. „Biada nam, gdyby każde dziecko przychodzące na świat umiało głośno wymówić imię właściwego ojca! Cała dzisiejsza ludzkość cywilizowana dałaby się przyrównać do jednej zgrai oszustów, a żywot kobiety do woreczka z fałszywemi pieniędzmi... Jeśli wojna w małżeństwie jest wyjątkiem, pokój jest jeszcze rzadszym gościem; śmiało też rzec można, że w większej części wypadków znajdujemy się w stanie zbrojnego pokoju, który osłabia nerwy, osusza najczystsze źródła miłości i niszczy szczęście.“ Mimo to małżeństwo — zdaniem Mantegazzy — „pozostaje zawsze jeszcze najmniej złym z związków, łączących mężczyznę z kobietą,“ o ile towarzyszy mu rozwód. To „najmniejsze zło“ autor usiłuje poprawić i z tej właśnie chęci płyną jego rady szczegółowe. Naprzód mówi o doborze: nie dowierzaj wrażeniom nagłym, t. z. piorunującym, zwłaszcza „jeśli ono zaskoczyło cię w warunkach długiej wstrzemięźliwości, a tem bardziej jeśli ujrzałeś kobietę w stroju balowym lub efektownym negliżu; ze względu na miłość, bardziej na miłość, niż na rozsądek, należy zawsze mieć post w pamięci; jeżeli po stłumieniu wszelkich żądz i namiętności, nawet przy pewnej dozie niesmaku, znajdziesz daną kobietę zawsze jeszcze piękną i pożądaną, oznacza to, iż uczucie twoje jest głębsze i zasługuje na to, aby je poważniej traktować.“ Jakkolwiek za najdoskonalszy typ stadła uważa M. związek ludzi w kwiecie wieku, wzdryga się tylko na połączenie młodego ze starą, a nie — starego z młodą, między którymi miłość wydaje mu się możliwą.

Pomijam dalszy ciąg jego wywodów, szczepiących roztropność małżeńską i rozbierających szeregi najrozmaitszych kombinacyj i wypadków. Są to fejletony na temat małżeństwa, pisane żywo, barwnie, czasem gorąco i dowcipnie. Wielce podobne treścią do dziełka Mantegazzy są dwa inne Gausserona. W jednem z nich autor powiada: „Rodzice, dwie połowy stanowiące parę małżeńską, zrastają się w jedność niepodzielną. Można je porównać do znanych półkul (magdeburskich), które machina pneumatyczna zespala tak ściśle, że niepodobna rozerwać ich siłą. Wprawdzie odrobina powietrza wystarcza zupełnie do zniszczenia tej spójni: kula, tak doskonała jeszcze przed sekundą, łamie się i rozpada na dwie części bezwładne. Ale na to potrzeba tej drobiny powietrza, tj. niezgody, obojętności, niechęci, których przecie uniknąć można, jeżeli małżonkowie uprzedzeni zostali o niebezpieczeń-

stwie." Otóż Gausseron wskazuje rozmaite sposoby niedopuszczenia owej „odrobiny powietrza" do spojonych półkul magdeburskich. Kto chce nauczyć się tych sposobów, niech przeczyta jego *Życie we dwoje* i *Gdzie szczęście*. Znajdzie tam zdania rozmaitych biegłych i sędziów spraw małżeńskich, dowie się, co wyrzekł ten lub ów, czego należy nie czynić a co czynić, co zaleca „kodeks małżeński" i inne recepty klejenia i wiązania pękających stosunków. Wprawdzie ktoś powiedział, że znał tylko dwa zgodne małżeństwa: kapitana marynarki, który od dnia ślubu nie widział swej żony i pewną parę, w której mąż był spokojny, cichy i pospolity, a żona niema od urodzenia; autor jednak, chociaż przytacza podobne sądy, wierzy, iż przy zachowaniu jego przepisów można być szczęśliwym bez marynarki i niemoty. I jeżeli nawet słusznie utrzymywał Hamerling, że mężczyzna żeniąc się, wsadza rękę w worek, napełniony wężami, śród których znajduje się jeden węgorz, w nadziei, że go wyciągnie, to Gausseron uczy, jak węże odpowiedniem postępowaniem zamieniać na węgorze. Słowem wszyscy, którzy marzą o przysmakach małżeństwa lub skosztowawszy, poczuli w nich kwas, gorycz lub truciznę, niech przeczytają poradniki kucharsko-małżeńskie Mantegazy i Gausserona, zawierające 365 przepisów szczęścia domowego.

Nie będę wszakże łudził moich czytelników. Niewątpliwie każdy z nas napisałby taki, gorszy lub lepszy, poradnik i każdy zdobyłby się na garść przestróg bardzo praktycznych; czy jednakże zmniejszyłby znacznie ilość wypadków rozrywania się kul magdeburskich, a tem samem czy przyczyniłby się do rozplątania węzła bardziej powikłanego, niż tysiąc splotów gordyjskich? Nie sądzę. Małżeństwo dzisiejsze (i niedzisiejsze) zawiera w sobie dlatego tyle nieuleczalnych chorób i ran, że jest formą współżycia stworzoną dla istot wyjątkowo dobranych, a służącą wszystkim. Wyobraźmy sobie, że wielkie poświęcenia, bohaterskie czyny, najżyczliwsze uczucia jakiejś nadzwyczajnej przyjaźni uczynilibyśmy obowiązkami dla pospolitego stosunku ludzi sympatyzujących z sobą, jak oni będą go ciągle rozpierać! Jeżeli małżeństwo pojmiemy jako związek mężczyzny i kobiety niezmiernie zakochanych w sobie, z sercami obojętnemi na cały ród męzki i niewieści, ciągle zbliżonych, niemal zrosłych, przenikniętych jednakowemi uczuciami i myślami, spojonych całem pasmem nici, których nigdy nie zrywają i coraz nowe wzajem przędą, wyprowadzających z siebie młode pokolenie, które wspólnie wychowują, to przyznać musimy, że jest to jakaś kombinacya idealna, zależna od dziwnego zbiegu okoliczności, fizycznych upodobań i duchowych powinowactw, której w żaden sposób nie możemy wymagać od zwykłej ludzkiej pary, tworzącej się przypadkowo, w wieku uwydatnionych różnic natury osobników, z materyału charakterów i umysłów najpośledniejszych. Jednostka człowiecza, należąca do typów większości, nie jest wcale aniołem, lecz najczęściej mieszaniną, zawierającą mnóstwo pierwiastków ujemnych, zwyrodnień, nałogów, popędów samolubnych; jednostka ta nie wybiera sobie męża lub żony z całej ludzkości, lecz z małego kółka znajomych; nie powoduje się jedynie miłością, lecz także interesem, namiętnym szałem, lekkomyślnym wybrykiem, jakąkolwiek wreszcie pobudką nietrwałą lub leżącą po za obrębem szczerego doboru naturalnego. I my żądamy, żeby ten biedny, ułomny, głupi, nieszczęśliwy, półobłąkany lub nierozważny osobnik był wzorowym mężem lub żoną! Zaiste niedorzeczne wymaganie, tem niedorzeczniejsze, że zwykle zaostrzone niemożnością rozłączenia się par niedobranych. Jeden z autorów powiada, że małżeństwa podobne są do „stojących wód," których powierzchnia jest spokojna i gładka, ale błotne wnętrze roi się mnóstwem przeróżnych gadów, płazów i robactwa. W uwadze tej tkwi dużo słuszności. Surowy bowiem rygor zwyczaju nakazuje zachowywanie dobrych pozorów temu najtrudniejszemu ze związków ludzkich. Słuchamy pobłażliwie skarg rodziców na dzieci lub dzieci na rodziców, braci na siostry lub sióstr na braci, przypuszczamy możliwość naderwania się najściślejszych stosunków i ujawnienia w nich rozdźwięków; ale głośne żale męża na żonę lub żony na męża wydają nam się czemś nieprzyzwoitem, gorszącem. Pojmujemy nadwyrężenie harmonii między synem a matką, która go urodziła, wychowała, który stanowi cząstkę jej krwi i ciała, a nie możemy lub raczej nie chcemy pojąć zatargów, sporów, wstrętów, walk między dwojgiem ludzi obcych, skojarzonych w wieku dojrzałym, kiedy charaktery już stwardniały, należących nieraz do odmiennych sfer, gatunków, narodów, niespokrewnionych z sobą ani fizycznie, ani duchowo, zczepionych przymusem albo ślepem zrządzeniem losu. Ci, mający największe prawa, bo najliczniejsze powody do wzajemnych pretensyj, muszą być zawsze z siebie zadowoleni, uśmiechnięci — tego jeszcze za mało — zakochani! I rzeczywiście przedstawiają „stojące wody," grają komedyę zadowolenia a nawet miłości przed swojem otoczeniem i dopiero gdy widzowie opuszczą teatr małżeński, aktorowie porywają się za czuby lub języki, czułości zamieniają na wymysły, a komplimenty na obelgi. Ażeby podołać tym trudnym rolom, trzeba posiadać wiele talentu obłudy, ale także duży zasób dobroci. Tak, ludzie niczem nie dowodzą bardziej dobrej natury, niż tajeniem swych cierpień i utrzymywaniem tych związków, kiedy one bywają im wstrętne. Uprzytomnijmy sobie jakieś niewinne, rozmarzone, szlachetne dziewczę, które zostawszy żoną, przekonywa się, że jej mąż jest fizycznie zgniłcem, łotrem, moralnym niepomiem, który złapał naiwnego ptaszka w potrzask tylko dla złotych piórek. Ta kobieta powinna wybiedz na rynek, podnieść krzyk daleko rozpaczliwszy, niż napadnięta przez rabusia, powinna wzywać zemsty i opieki sądów ludzkich i boskich, napełniać całe otoczenie przerażającym głosem swego bólu. A tymczasem zwykle co ona robi? Tai cierpienie nawet przed najbliższymi, wylewa łzy skrycie, jawnie uśmiecha się, okazuje życzliwość mężowi, ani jednem słowem nie zdradza ku niemu odrazy, jest szczęśliwą i przywiązaną żoną. Kiedyindziej znowu mężczyzna wysokiej wartości umysłowej i moralnej, gorącego serca, duszy pełnej czystego ognia, poślubia samicę, masę błota w ludzkiej skórze, mizerny wyskrobek natury, torbę kłamstw i wszelakich nieprawości, nieraz ścierkę cudzych pożądań, a mimo to żyje z nią, udaje szacunek, przywiązanie, wszystko, czego nie czuje, kryjąc natomiast jedyne uczucie, jakie ma dla niej — pogardę. Czyż na takie bohaterstwo wystarczyłaby sama obłuda? Nie, tu jeszcze potrzebna dobroć, bez której byłoby ono niemożliwe.

Nie zaprzeczając tedy, że tegoczesne małżeństwa w przeważnej liczbie wypadków zasługują na gniew Shelleya lub Schopenhauera, że zawierają w sobie ogrom zgnilizny, sądzę, że nawet najgorsze ich postacie są raczej godne podziwu, niż nagany. Żadnej innej niewoli, nienawiści, odrazy, przymusu człowiek nie znosi cierpliwiej, w żadnem innem męczeństwie nie uśmiecha się z większym wysiłkiem. Gdyby ludzie nie byli dobrzy, utworzyliby w tych stosunkach piekło piekielniejsze od wszystkich znanych. Ta bowiem forma pożycia jest śliczna, wspaniała, ale pomyślana i odpowiednia tylko dla tych, którzy do niej wnieść mogą wzajemną miłość a przynajmniej głębokie przywiązanie, szacunek, życzliwość i tak wielką przyjaźń, o jakiej zwyczajni przyjaciele nie mają pojęcia. Tym czasem żenią się i idą za mąż prawie wszyscy. Cóż dziwnego, że kociołek małżeński wre pod szczelnie przymkniętą pokrywą?

Poseł Prawdy.

II.

SPRAWY EKONOMICZNE

ZJAZD GÓRNICZY.

II.

Brak siły przewozowej kolei żelaznych (Wiedeńskiej i Dąbrowskiej) był także przedmiotem szczególnych rozpraw uczestników zjazdu, jest to bowiem wzgląd, krępujący w znacznej mierze rozwój wytwórczości i szerszy zbyt węgla. W roku 1889 kiedy produkcya w zagłębiach dąbrowskich doszła do 151 milion. pudów, niedostateczność środków transportu jaskrawo się zaznaczyła. Najdotkliwiej atoli ten brak dał się odczuć w zimie r. 1892 i w styczniu r. b. Najbardziej cierpieli na tem spożywcy, ale również byli w wielkiej obawie o swe dywidendy przemysłowcy i gdyby nie to, że kolej Wiedeńska pożyczyła w lutym wagonów z zagranicy, rok bieżący byłby dla nich istotnie niepomyślnym. Przedsiębiorca, nie mogąc wysłać odbiorcom swego towaru, musi albo zmniejszyć produkcyę, albo robić zapasy wydobytego węgla, którego wartość tym sposobem nawet nie pokrywa kosztów wytwarzania (?). Tak utrzymują interesowani. Ograniczenie produkcyi pociąga za sobą zmniejszenie czasu roboczego, albo liczby rąk; cierpią zatem setki pracowników. Podczas zaś gdy w zakładach kopalnianych nagromadzają się olbrzymie zapasy węgla, który traci swą wartość a pod działaniem atmosferycznem — dobroć, w miastach składnicy podnoszą niesłychanie wysoko ceny z ogromną stratą spożywców. Dzieje się to już od paru lat mniej więcej zwykle od listopada aż do marca. Gdyby transport tych zapasów można było rozłożyć nie na pięć, lecz na siedem lub osiem miesięcy, koleje nie potrzebowałyby nadzwyczajnie zwiększać liczby węglarek. P. Józef Łubieński utrzymuje, iż należałoby rozwozić zapasy na zimę już od lipca lub od sierpnia; ale do tego potrzebne jest odpowiednie zniżenie stawki taryfowej na dwa lub trzy miesiące przed sezonem jesiennym. Wynagrodziłoby to straty, wynikające między innemi z kruszenia się węgla, dzierżawy placów itd. Jako jeden ze środków pożądanych, p. Ł. zaleca udzielenie wytwórcom możności korzystania z własnych wagonów, z zastosowaniem przy tem odpowiedniej zniżki taryfowej. Naturalnie, środek ten nie uwolniłby zarządów kolei od obowiązku zaopatrzenia się w większą liczbę węglarek; projektodawca ma na celu tylko zabezpieczenie przemysłowców przed znacznemi stratami w razach gdy koleje z jakich bądź przyczyn byłyby opieszałe we wzmacnianiu swej siły przewozowej. Wobec powyżej wyłuszczonych warunków p. Łubieński radzi przedstawicielom zjazdu starać się u stosownej władzy o wprowadzenie środków przezeń zalecanych (zwiększenie siły przewozowej kolei żelaznych, zniżenie taryfy na kol. Wiedeńskiej i Dąbrowskiej, opracowanie i utrwalenie przepisów co do posługiwania się własnymi wagonami wytwórców w pewnych razach, z uwzględnieniem również zniżki taryfowej).

Sprawa ta wywołała spór i szereg uwag ze strony przedstawicieli kolei Dąbrow-

skiej i Wiedeńskiej. Dyrektor tej ostatniej, p. Rydzewski, udowodnił, że w r. b. kolej nawet z dość znaczną stratą własną wynajęła wagony od dróg zagranicznych, ażeby zadość uczynić potrzebom wytwórców węgla. Nadto zapewnił, że tabor węglarek będzie w przyszłości powiększony, tak iżby dziennie można było wysyłać po 730 wagonów. Skargi atoli na brak siły przewozowej, zdaniem p. R., nabrały znaczenia przesadnego pod działaniem spekulantów. Przy tej sposobności musimy przytoczyć wielce charakterystyczne dane o obrotach węgla. Na milionie pudów kopalnie zarabiają 14,700 rs. (zysk czysty), kolej 11,650, kupcy detaliczni 19,100 rs. Z tych cyfr widzimy, że największe zyski osiągają kupcy detaliczni, kolej zaś przy niewielkim wysiłku ciągnie z węgla dochód prawie dorównywający zyskom właścicieli kopalni. Oczywisty stąd wniosek, że tak świetne interesy robione są kosztem spożywców. Właściwie węgiel w Warszawie powinien kosztować tylko 12,6 kop., tym czasem spożywcy płacą 16,2—17,3 a nawet 20 kop. za pud. Ułatwienie dowozu, leżące w interesie właścicieli kopalń, jednocześnie wpłynęłoby na pożądaną dla konsumentów zniżkę cen. Ale samo wzmocnienie siły przewozowej nie wystarcza. Zasadniczym warunkiem jest w tym względzie zniżenie taryfy.

Oprócz p. Łubieńskiego wyłuszczył swoje żądanie w tym zakresie także p. Niedzwiedzki. Mianowicie, zdaniem tego ostatniego, konieczne jest ułożenie możliwie najtańszej taryfy w komunikacyi bezpośredniej z Dąbrowy do fabryk dnieprzańskich w gub. jekaterynosławskiej głównie do Kamieńska, gdzie wielkie piece wymagają węgla dąbrowskiego, gdyż doniecki nie jest odpowiednim do tego gatunkiem. Nadto p. N. żądał zniżenia taryfy przewozowej w komunikacyi bezpośredniej do Moskwy, dużo spożywającej tutejszego węgla (w r. z. wyprawiono tam przeszło 1000 wagonów). Dziś dowóz tego produktu do Moskwy kosztuje 81 rs. 30 kop. za wagon i pomimo tak znacznego kosztu korzystniej tam jest palić węglem niż drzewem (sążeń tego ostatniego kosztuje 32 rs. odpowiednia zaś jednostka węgla z Dąbrowy 27 rs.). Otóż zniżenie taryfy do 72 rs. za wagon zwiększyłoby jeszcze bardziej zapotrzebowanie paliwa dąbrowskiego na rynku moskiewskim. Co do kolei Wiedeńskiej, wnioskodawca żądał zniżenia taryfy według normy, przyjętej na drodze Dąbrowskiej, tj. przynajmniej do $^1/_{66}$ od puda i wiorsty, bez względu na przestrzeń. Wpłynęłoby to na wzmożenie dowozu węgla w głąb kraju tudzież na zaoszczędzenie lasów. P. Rydzewski z natury swego stanowiska wystąpił przeciwko temu żądaniu i starał się je osłabić przypuszczeniem, że zarobek na zniżce cen węgla może się dostać w ręce spekulantów, zresztą bronił się tem, że kolej Wiedeńska, jako niegwarantowana przez rząd, nie może zmniejszać swoich dochodów. Pomimo sporów i wystąpień nieprzychylnych, oba powyższe wnioski (pp. Łubieńskiego i Niedzwiedzkiego) zjazd postanowił popierać na drodze właściwej.

Pokrewna z kwestyą taryf jest grupa spraw ułatwienia komunikacyjnego, między innemi — naprawa dróg kołowych. Jeszcze na poprzednim zjeździe poruszono ten sam przedmiot i w rezultacie władza właściwa poleciła naczelnikom powiatów i wójtom gmin zwrócić uwagę na polepszenie tego rodzaju dróg; nie wydało to jednak pożądanych owoców. W pow. będzińskim, w części częstochowskiego i olkuskiego owe drobne arterye są zaniedbane, a nadto interesowani pożądają nowych szos. P. Mauve (który tę sprawę na zjeździe podniósł) oblicza, iż należałoby zbudować 116 wiorst nowych dróg szosowych na przestrzeni następujących miejscowości: Będzin, Sosnowice, Dąbrowa, Gołonóg, Sielce, Zagórze, Niwka, Ignacy, Milowice, Łagisza, Siemonia, Strzyżowice i Granica. Ponieważ fundusze gminne byłyby niewystarczające, więc chętnie pobudowaliby te drogi zainteresowani przemysłowcy, ale do tego konieczne jest poparcie rządu, nadanie prawa wywłaszczania gruntów pod budowę dróg na zasadach ogólnych użyteczności publicznej, zdobycie prawa pobierania opłat od podwód na koszt utrzymania szos. P. Mauve oblicza, iż koszt utrzymania jednej wiorsty szosy wyniesie rocznie 400 rs. czyli na całym obszarze około 50,000 rs.

Wybitne miejsce w programie zjazdu zajmuje szkoła górnicza w Dąbrowie. Pierwsza partya młodzieży z tego zakładu otrzyma patenty dopiero w roku bieżącym. Pomimo iż ta garstka wychowańców nie zdołała jeszcze ujawnić w praktyce, o ile szkoła przysposobiła ich do górnictwa, przemysłowcy znając (za pośrednictwem swych przedstawicieli) zalety i wady obecnych wykładów, postanowili skorzystać ze zjazdu niniejszego i tą drogą starać się o pewne zmiany w ustawie i programie zakładu fachowego, z pożytkiem dla spraw górniczych. Przeprowadzenie tej kwestyi poruczono inżenierowi Kontkiewiczowi, jako jednemu z profesorów, obeznanych dobrze z warunkami i zadaniem szkoły. Pod względem sił naukowych zakład jest uposażony bardzo dobrze. Pomijając już piękny gmach o obszernych widnych audytoryach, szkoła posiada bibliotekę, gabinety fizyczny, geodezyjny i mineralogiczny, laboratoryum chemiczne i warsztat. Otóż z usunięciem tych braków, które się ujawniły w pierwszem czteroleciu, szkoła przyniosłe będzie ogromny pożytek górnictwu miejscowemu. Największą wadą jest zbyt długi okres nauki (czteroletni), w stosunku do ilości i jakości przedmiotów, które młodzież mogłaby wybornie przejść w ciągu lat trzech. W każdej klasie jest obecnie po 20 lekcyi tygodniowo. Ponieważ w to wchodzą i rysunki, które nie wymagają przygotowywania w domu, zatem właściwie lekcyi rzeczywistych jest tylko 16, czyli mniej niż trzy dziennie (są dnie, w których bywa jedna lub dwie lekcye). Prawda, iż przy dzisiejszym programie uczniowie obowiązani są pracować w warsztatach, ale skutkiem ciasnego pomieszczenia zaledwie połowa tj. dwie niższe klasy znajdują tam zajęcie, obie zaś wyższe wcale z tych robót praktycznych nie korzystają. Natomiast w czasie poobiednim uczniowie (wyższych kursów) zajmują się praktycznemi robotami (doświadczeniami) z niektórych tylko przedmiotów specyalnych; ale ponieważ te roboty nie są stałe, więc młodzież po za tem posiada jeszcze dużo czasu. Gdyby te 80 godzin tygodniowo poświęconych ogółem na wykłady we wszystkich klasach zredukować do trzech lat, każda klasa miałaby zamiast 20—26 godzin, a bez rysunków 22 tygodniowo, tj. zaledwie po 3—4 lekcye dziennie. Oczywiście taka liczba godzin wcaleby nie obciążyła pracą uczniów. Weźmy pod uwagę jeszcze znaczną liczbę świąt. Jednocześnie ze skróceniem kursów należałoby również zmienić program wykładów. Co do warsztatów, p. Kontkiewicz czyni również zarzuty. Utrzymanie ich wynosi około 2,000 rs. rocznie, tymczasem uczniowie w gruncie rzeczy nie wiele korzystają z robót, gdyż nie ma określonych żądań w tej mierze. Przy tem kierownikami tych robót są prości majstrowie, nie wiele mogący nauczyć. Otóż zdaniem p. K., wykłady rzemiosł mogłyby tylko wtedy przynieść pożytek, gdyby je prowadzili ludzie z wyższem wykształceniem technicznem, posługując się naturalnie majstrami w robotach. Ale znowu zwiększyłoby to znacznie budżet szkoły.

Czy jednak dla sztygarów potrzebna jest dokładna znajomość praktyczna rzemiosł? Od tego w kopalniach są specyalni mechanicy i majstrowie z odrębnem wykształceniem praktycznem. Co się zaś tyczy uczniów oddziału fabrycznego, to dla nich nauka rzemiosł może być zamieniona z wielkim pożytkiem na roboty praktyczne w fabrykach. Zdaniem p. K., jeden rok takiej praktyki o wiele byłby pożyteczniejszy, niż cztery lata nauki rzemiosł w szkole górniczej. Wzorem powinny być doskonałe szkoły górnicze za granicą, w których rzemiosła nie są wykładane. Otóż p. Kont. żąda zupełnego usunięcia rzemiosł z programu szkoły dąbrowskiej, a natomiast przy pomocy środków na tem zaoszczędzonych dałoby się wzmocnić wykłady przedmiotów specyalnych. Przy skróceniu kursu można dojść do 30 godzin w każdej klasie (nie ze szkodą, lecz z pożytkiem dla młodzieży). Byłoby to zresztą korzystne pod względem materyalnym, gdyż rok dłużej pobytu w Dąbrowie, gdzie życie jest dość kosztowne, zwiększa znacznie wydatki na wykształcenie. Zmiana programu jest pożądana w takim duchu, ażeby uczniowie dwóch klas niższych mogli otrzymać pewne zaokrąglenie w wykształceniu technicznem, na wzór podobnych szkół za granicą. Obecnie uczeń, opuszczający niższy kurs, czuje, iż czas zmarnował bez pożytku, gdyż wcale nie otrzymał specyalnego wykształcenia. Aby tego rozczarowania i bezcelowej nauki nie było, rada szkolna chcąc nie chcąc musi promować wyżej nawet niezdolnych, którzy obeznani z przedmiotami technicznymi w mniejszym zakresie, przy pracowitości mogliby się stać pożytecznymi pracownikami na niższych szczeblach górnictwa. Wielką jeszcze wadą jest zły dobór kandydatów, którzy się rekrutują przeważnie z rozbitków gimnazyalnych i szkół realnych. Przy otwarciu szkoły interesowani przemysłowcy mieli na myśli młodzież miejscową, której brak wiedzy technicznej, dającej możność zastąpienia specyalistów zagranicznych, przepełniających dotąd kopalnie i fabryki miejscowe. Wytwórcy byli pewni, że do nauki będą się garnąć głównie młodzieńcy z ludności miejscowej, możliwie najwięcej z szeregów prostych robotników. Ażeby to życzenie mogło się urzeczywistnić, p. Kontkiewicz proponuje surowy wybór kandydatów i ściśle wymaganie uprzedniej praktyki w górnictwie. Wymagany obecnie wiek minimalny 16 lat i maksymalny 20 uniemożliwia dostęp do szkoły kandydatom z warstw robotniczych, gdyż najbardziej nawet uzdolnieni nie mogą się odpowiednio przygotować do szkoły przed 20 rokiem życia. Ze względu na praktykę uprzednią pożądany byłby wiek minimalny 17 lat. Wielką szkodę również przynosi brak przywilejów pod względem służby wojskowej. Otóż p. Kont. żąda odroczenia tej powinności dla słuchaczów szkoły dąbrowskiej przynajmniej do 24 roku życia. Wszystkie te żądania będą popierane przez zjazd w sferach właściwych.

Dr.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Przegląd działalności warsz. Oddziału Tow. pop. rosk. przem. i handlu. W tych dniach zgromadziły się wszystkie sekcye dla zsumowania swej działalności w okresie trzyletnim na polu przemysłu, handlu i rzemiosł. Do wybitniejszych faktów należą: stworzenie bazaru i muzeum rzemieślniczego, szereg środków, przedsięwziętych dla podniesienia i zaopiekowania się drobnym przemysłem, kwestyonaryusze, przeprowadzone w sprawie nieurodzaju, otworzenie stałej wystawy prób, założenie stacyj meteorologicznych i doświadczalnych, zajęcie się sprawą przytułku dla rzemieślników, wreszcie w ostatnich czasach wyrażenie potrzeb Królestwa Polskiego pod względem uprzystępnienia kredytu z powodu przedsięwziętej reformy Banku państwa. Su-

ma tej działalności, pomimo iż znaczną jej część zaliczyć można do działu dobrych chęci, świadczy, iż instytucya starała się odpowiedzieć swemu zadaniu i że z czasem swój zakres szerzej rozwinie. Oddział wogóle spełniał bardzo ważną rolę przedstawiciela tutejszych interesów ekonomicznych. Za pośrednictwem komitetu petersburskiego zwracał się do władz wyższych o różne uwzględnienia. Mniej więcej w tym samym charakterze działał na gruncie stosunków miejscowych. W wielu ważnych sprawach organ ten powoływany był w charakterze znawcy do wypowiedzenia swego zdania w wielu ważnych sprawach ekonomicznych. Oddział w ostatnich latach wzrósł znacznie pod względem liczebnym. Na liście posiada obecnie przeszło 400 członków, biblioteka zaś i czytelnia pism są dobrą zachętą do zwiększania liczby uczestników. Skład zarządu pozostaje nadal niezmieniony.

Pożyczka wewnętrzna. Ostatnie notowania papierów osiągnęły kurs 99⅝. Takie powodzenie *Birż. Wied.* przypisują wybitnemu udziałowi kas oszczędności tudzież innych instytucyi rządowych i prywatnych. Do rozporządzenia kas oszczędnościowych od samego początku oddano według pierwotnej ceny sprzedażnej 65 mil. rs. obligacyi nowej pożyczki. „Tę część pożyczki — pisze gazeta powyższa — można uważać za wybornie ulokowaną, ponieważ jest ona usunięta zupełnie z obiegu. Zarządowi kas oszczędności wydano tylko jeden arkusz tego papieru na ogólną sumę 65 mil. rs. kapitału nominalnego. Oblig tej wartości jest najwyższym, jaki kiedykolwiek wydano w jedne ręce.“ Po za tem fundusz inwalidów zażądał dla siebie nowej pożyczki na 3 miliony rs. W lokacyi nowej pożyczki oprócz banków przyjęły udział nadto prywatne towarzystwa akcyjne i ubezpieczeń.

— Według zapewnień *Birż. Wied.*, doszło do zupełnego porozumienia pomiędzy syndykatami naftowymi firmy br. Nobel a towarzystwa czarnomorsko-kaspijskiego. Rynki wewnętrzne oddano pierwszemu z tych syndykatów, z warunkiem ażeby ten z uwzględnieniem korzyści sprzedających zniżył ceny produktu dla spożywców. (To uwzględnienie korzyści własnej prawdopodobnie będzie bardzo rozciągliwe). Rynki zagraniczne podzielono stosownie do produkcyi obu syndykatów, które prowadzą układy z Ameryką o rozgraniczenie rynków międzynarodowych.

— Komisya pod przewodnictwem senatora v. Plevego pracuje nad projektem obowiązkowego ubezpieczania zasiewów na gruntach włościańskich (*Peterb. wied*).

— Do ministeryum skarbu wniesiono projekt dodatkowego poboru od kart, użytkowanych w klubach i resursach. Podatek ma wynosić 50 kop. od talii.

— W porcie odeskim urządzony będzie pływający elewator do ładowania ziarna na barki i okręty.

— Pomyślne wydały rezultaty starania białostockiej rady miejskiej o utworzenie komitetu handlu i przemysłu. Koszt utrzymania przyjął na siebie rząd miejski. Komitet będzie się składać z 12 członków, wybieranych przez radę miejską a zatwierdzonych przez gubernatora grodzieńskiego. Działalność nowej instytucyi oprócz Białegostoku rozciągnie się jeszcze na powiaty: białostocki, bielski i słonimski, jako najbardziej przemysłowe i skupiające w sobie prawie wszystkie fabryki wełniane w obrębie gubernii. Od r. 1878 nie pamiętają takiego ożywienia w przemyśle białostockim, jak w chwili obecnej: szczególnie zaś ruch ten się zaznaczył w listopadzie, grudniu i styczniu. Zamówieniom nie można było nadążyć, zapasy wyczerpały się zupełnie, kupcy, płacący najczęściej gotówką, przybywali ze wszystkich stron. Jednocześnie zaznaczyła się niebywała taniość kredytu skutkiem współzawodnictwa miejscowych firm finansowych.

PRASA RUSKA.

Ryżskij Wiestnik pisze:

„Jak już wiadomo, wydano niedawno nowe przepisy dla studentów uniwersytetu jurjewskiego. Przepisy te, zatwierdzone przez ministra oświaty, ułożone oczywiście w języku ruskim, zaprowadzają pewne zmiany. Szczególne znaczenie ma podział kursów na określoną ilość semestrów. Wydziały: teologiczny, prawny, historyczno-filologiczny i fizyczno-matematyczny trwać będą 8 lub 9 półroczy, kurs medycyny 10 lub 11, a farmaceutyczny 3. Rok szkolny zaczyna się od lipca. Przyjęto zasadę, że student, któremu na zasadzie egzaminów nie policzono trzech bezpośrednio po sobie idących semestrów lub wogóle sześciu (na wydziale lekarskim siedmiu), wykreślony będzie z uniwersytetu. Przy przenoszeniu z jednego wydziału na inny, niepoliczone poprzednio semestry pociągają za sobą takie same skutki; w wyjątkowych jedynie razach dawane będą pewne ulgi.

Nowe te przepisy wprowadzają porządek do zajęć uniwersyteckich studentów jurjewskich i wykluczają istnienie ciekawego typu „wiecznego studenta.“ Wobec dawnych porządków „dorpackich,“ student, niezajmujący się wcale nauką, mógł siedzieć w uniwersytecie, dopóki mu się podobało; niektórzy zwolennicy życia studenckiego przebywali po 20 semestrów, ku zgorszeniu pozostałej młodzieży. Teraz studenci zmuszeni będą przykładać się pilnie do nauk, aby nie narazić się na wykreślenie za czas bezużytecznie spędzony. Mniej będzie pobudek do próżniactwa i hulanek, a więcej podniet do poważnego zajmowania się pracą.

Niektórzy wystąpią może z zarzutami przeciwko tego rodzaju ograniczeniu „swobody akademickiej“ skoro jednak „swoboda“ ta redukuje się do „oswobodzenia się od nauki,“ ograniczenie jej chyba tylko cieszyć może. Dalej zaprowadzono nowe przepisy, regulujące zachowanie się studentów w murach uniwersytetu. Dla Jurjewa będzie bardzo na czasie zalecenie przyzwoitości i grzeczności. Nadto zabrania się w uniwersytecie wszelkich działań, noszących charakter korporacyjny, wysyłania zbiorowych adresów, podań i deputacyj, wywieszania ogłoszeń w imieniu studentów itp. W tym kierunku uniwersytet jurjewski zrównano ze wszystkimi pozostałymi. Nowe przepisy są przeto przejściowym szczeblem do zaprowadzenia w uniwersytecie jurjewskim porządku ogólno-ruskiego.“

KRONIKA.

Unieważnienie testamentu. Po długich korowodach, których opowieść zbyt wiele zabrałaby nam miejsca, testament W. Walewskiego przyszedł znowu pod rozpatrzenie sądu okręgowego. Obrońcy pp. T. Romockiego i M. Wołowskiego, na korzyść których spisana została ostatnia wola nieboszczyka, żądali zawieszenia procesu cywilnego, dopóki nie zostanie ostatecznie rozstrzygnięty karny. Natomiast adwokaci powodów, opierając się na fakcie, że sprawa karna została rozjaśniona orzeczeniem Izby sądowej, zarzucającem rejentowi niezachowanie formalności, domagali się rozstrzygnięcia sporu, a ze względu na stwierdzoną niepoczytalność konającego legataryusza, na istnienie testamentu wcześniejszego z całkiem inną osnową oraz na pogwałcenie przepisów prawa — unieważnienia testamentu, co też sąd uczynił.

Sprawy społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych w uzupełnieniu istniejących przepisów o najmie robotników postanowiło dodać regułę, że osoba przyjmująca pracownika, który u innego pracodawcy nie odrobił wybranych pieniędzy, obowiązana będzie pokryć dług pozostały.

— Komitet obywatelski, zawiązany z powodu cholery, zaczął wydawać bezpłatne obiady w kuchniach na ulicach: Szerokim Dunaju, Czerniakowskiej, Targowej na Pradze, na placach Grzybowskim i Mirowskim tudzież przy rogatkach Wolskich.

— P. Robert Biedermann, właściciel przędzalni bawełny i jednej z największych farbiarni w Łodzi, zmniejszył dla swych robotników dzień pracy o jedną godzinę przy utrzymaniu dotychczasowej płacy zarobkowej. Zmiana ta wchodzi w wykonanie z dn. 1 kwietnia.

— Ośmiu aresztantów więzienia w Końskich osadzonych w jednej izbie, przez wyłom w ścianie zbiegło bez śladu.

— *Praw. Wiest.* zamieszcza rozporządzenie o utrwaleniu dzierżawców ruskich wyznania prawosławnego, osiadłych na gruntach prywatnych w gub. północno-zachodnich i białoruskich przed 19 lutym 1861 roku. Czynszownicy tej kategoryi mają prawo wykupywać zajmowane grunty, przy współudziale rządu. Szacunek ziemi oznacza się zapomocą skapitalizowania według stopy 6% rocznego czynszu lub odrobku w naturze. Sprawy sporne rozstrzyga zjazd komisarzy (pośredników) włościańskich z udziałem ziemian okolicznych. Skarb wydaje czynszownikom pożyczki na wykupienie gruntów.

— Do handlów i zakładów restauracyjnych zabroniono wstępu młodzieży szkolnej bez towarzystwa osób starszych.

— W Moskwie mieszczanin Andrianow dwoma strzałami rewolweru dopuścił się zamachu na życie naczelnika miasta, N. A. Aleksiejewa. Pierwsza kula trafiła w brzuch, druga w drzwi gabinetu. Raniony zmarł.

Szkoły. W bież. r. szkol. otwarto pensyonaty przy gimnazyach męzkich piotrkowskiem i lubelskiem tudzież przy gimnazyum żeńskiem w Siedlcach. Utrzymanie całkowite w pierwszem kosztuje rs. 180, drugiem rs. 225, trzeciem 200. Ogółem w całem państwie istnieje takich pensyonatów i mieszkań wspólnych 111.

— Szkoła realna z Włocławka będzie przeniesiona do Kalisza.

— W roku ubiegłym minister oświaty zatwierdził 156 stypendyów w wyższych, średnich i niższych zakładach naukowych, ogółem na sumę 601,495 rs. Kapitał ten pochodzi głównie z ofiar prywatnych.

Sprawy kolejowe. Główny inspektor kolei pułkownik von Wendrych ustępuje, jego zaś miejsce zajmie ks. Chiłkow (pisma petersburskie).

— Poseł do austryackiej rady państwa, dr. Karol Lewakowski, tworzy w Paryżu spółkę kapitalistów dla budowy w Galicyi zachodniej kolei lokalnych (Gorlice-Zmigród, Nowy-Sącz-Szczawnica, Nowy-Targ-Chabówka).

— Zarząd kolei Południowo-Zachodnich opracował plan zbudowania odnogi od stacyi Kalinówki przez Uładówkę, Chmielnik, Wojtowice do Starej Siniawy. Z tego powodu niektórzy z miejscowych rolników i przemysłowców zażądali przedłużenia tej odnogi do Starokonstantynowa i dalej przez Kulczyny, Kolki Teofipol, Szumsk i Krzemieniec do odnogi radziwiłłowskiej. Nadto zaprojektowano zbudowanie w danej miejscowości jeszcze jednej odnogi, która idąc równolegle do linii Koziatyn-Zmierzynka łączyłaby zachodnią część drogi Wołoczyskiej z jedną ze stacyi, leżących pomiędzy Zdolbunowem a Berdyczowem.

— Ministeryum komunikacyi wprowadza latem pociągi błyskawiczne pomiędzy Moskwą a Warszawą. Skrócą one drogę o 10 godzin. Jednocześnie od 1 maja przywrócona będzie pomiędzy Moskwą a Berlinem i Wiedniem komunikacya bezpośrednia z punktem środkowym w Warszawie.

— Na kolei Petersbursko-Warszawskiej pod samym Petersburgiem wprowadzono sposobem próby sygnalizacyę telefoniczną.

— W kancelaryi generał-gubernatora kijowskiego opracowano projekt sieci dróg pomocniczych w gub. kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej dla podniesienia stanu ekonomicznego tych obszarów. Fundusz na ten cel zaczerpnięty będzie z kapitału 2 mil. rs., pozostałych jako reszta od podatków ziemskich.

Zdrowie publiczne. Dla tratew, spławianych rzekami w obrębie Królestwa Polskiego wydano przepisy sanitarne, obowiązujące z rozpoczęciem spławu. Zalecone jest oprócz hygienicznego żywienia flisaków, zaopatrzenie tratew w naczynia do gotowania jadła, utrzymywanie kadzi z przegotowaną wodą, oraz sygnałów: w dzień żółtej flagi, w nocy latarni zielonej i czerwonej, które wystawione będą w razie choroby na tratwie.

— Z rozporządzenia ministeryum oświaty postanowiono wzmocnić kontrolę lekarską nad uczniami szkół średnich. Szczególna uwaga będzie zwrócona na szerzenie się choroby oczu i jamy ustnej.

Zjazdy. Na zjazd wodociągowy w Moskwie delegowany został z Warszawy inż. Grotowski.

— Drugi zjazd przedstawicieli wykształcenia fachowego odbędzie się w Moskwie r. 1894.

Muzyka. P. Szumowska, która zyskała już sobie pewien rozgłos koncertami fortepianowymi w Anglii i Francyi (jako uczenica Paderewskiego), przedstawiła się również naprzód w Kijowie a następnie w Warszawie. Nie jest to talent nadzwyczajny, ale niepospolity.

Zmarli. Józef Supiński, głośny ekonomista, we Lwowie. Ur. 1804.

— Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych podaje do wiadomości pp. artystów malarzy i rysowników, że wydawcy *Tygodnika ilustrowanego* w Warszawie zadeklarowali złożyć **rs. 600 na nagrody konkursowe** i że po porozumieniu się z nimi ustanawia się dwa konkursy *Tygodnika ilustrowanego*: **malarski z nagrodą rs. 500 i rysowniczy z nagrodą rs. 100** na następujących warunkach:

1) Do konkursu malarskiego kwalifikują się obrazy olejne, akwarele, pastele i kartony, do rysowniczego zaś rysunki artystów malarzy i rysowników żyjących takie, które nigdzie dotychczas nie były wystawione, ani też reprodukowane. 2) Prace na konkurs przeznaczone mają być nadsyłane frachtem zwyczajnym na koszt Towarzystwa tak, aby na wystawę przybyły najpóźniej d. 25 kwietnia 1893 r. 3) Konkurs malarski ma być jawny, rysunkowy zaś tajny, tj. rysunki nie mają być podpisane, lecz opatrzone godłem. Tem samem godłem winna być opatrzona koperta zapieczętowana, zawierająca nazwisko artysty. 4) Orzeczenie, czy dany utwór kwalifikuje się i ma być dopuszczony na wystawę konkursową *Tygodnika ilustrowanego* pozostawia się Komitetowi Towarzystwa zachęty sztuk pięknych łącznie z reprezentantem redakcyi *Tygodnika ilustr.*, stanowiących jury d'admission. 5) Nagrody przyznane zostaną większością przez głosowanie członków Towarzystwa wraz z prenumeratorami *Tygodnika*. Członkom Towarzystwa przy zwiedzaniu wystawy udzielany będzie kupon, który po zaznaczeniu na nim obrazu, kwalifikującego się do nagrody, składać będą do umyślnie na ten cel przeznaczonej puszki, przyczem bilety roczne członków składających swój głos będą stemplowane. Prenumeratorom zaś *Tygodnika* rozesłane będą czeki, dające prawo głosu, które to czeki życzący sobie głosować do puszki składać będą. Celem zapoznania zamiejscowych prenumeratorów *Tygodnika* z plonem konkursowym, wszystkie utwory konkursowe będą odtworzone w tem piśmie w drobnych reprodukcyach cynkograficznych z podstawą nieprzenoszącą pięciu cali. Niezależnie od tego redakcya *Tygodnika* zastrzega sobie prawo nabycia reprodukcyi drzeworytniczej obrazów i rysunków na konkurs przyjętych, płacąc w tym razie za reprodukcyę, zajmującą pół strony *Tygodnika*, rs. 15, stronę — rs. 25 i dwie strony — rs. 40. 6) Wystawa konkursowa otwarta zostanie w d. 1 maja 1893 r. i trwać będzie do 15 czerwca, w którym to dniu zamknięte zostanie głosowanie. Komitet, łącznie z reprezentantem *Tygodnika*, głosy obliczy i wynik poda do publicznej wiadomości. 7) Obraz lub rysunek, który z połączenia głosów członków Towarzystwa i prenumeratorów *Tygodnika* mieć będzie największą ich ilość, otrzyma nagrodę: obraz rs. 500, rysunek rs. 100. Obraz pozostanie własnością artysty, rysunek zaś przejdzie na własność *Tygodnika*. Obraz i rysunek nagrodzone odtworzone zostaną w łamach *Tygodnika* w reprodukcyi drzeworytniczej dwustronnej.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 18 Марта 1893 г. — Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.